Złóż dar na Fundusz Szkolnictwa Polskiego Zagranicą

w młodych oczach

CZASOPISMO MŁODZIEŻY SZKOLNEJ

(ZATWIERDZONE DO BIBLIOTEK UCZNIOWSKICH DLA MŁODZIEŻY POWYŻEJ LAT 14 PRZEZ MIN. W. R. i O. P., 15. VII. 38. Nr. II. Pr. — 16007/38).



Na międzynarodowej wystawie prasy w Paryżu.

„Nie ma nic, co by narody bardziej dzieliło, nad różnicę narodów czynnych i narodów biernych".

Stanisław Szczepanowski O Lic. Krzem., 1891.

Nr 1 (14) WARSZAWA Rok 3

WYD. ORGANIZACJI PRACY OBYWATELSKIEJ MŁODZIEŻY STRAŻ PRZEDNIA

SKALPEL...

Na Wydziale Medycznym Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie zamordowano nożem w plecy studenta żyda. Kilku medyków polskich uzbrojonych w skalpele chirurgiczne zadało mu kilkanaście ran, tak że ofiarę zbrodni można było przewieźć wprost do prosektorium. Grupa Polaków i Katolików i in spe — lekarzy dopuściła się potwornego, skrytobójczego mordu z premedytacją na swym koledze za to, że nie był Polakiem. Przysłowie: „od rzemyczka do koniczka" sprawdza się tu na pewnym odłamie młodzieży z całą wyrazistością. Od kamyka do nożyka a gdy się już jest studentem medycyny, do s k a l p e l u. Bicie szyb kamieniami, rozpruwanie żydowskich portek żyletką i targanie w strzępy policyjnych czapek — to dobre dla dzieci. Starsi zachodzą poprostu wroga gromadą od tyłu a potem nożami w plecy — i kwita. „O matko - Polko, źle się syn twój bawi!"

Wypadek, który się zdarzył na Uniwersytecie Lwowskim obraził nasze uczucia narodowe. Obrażona została p r a w o ś ć, s z l a c h e t n o ś ć, u c z c i w o ś ć i m ę s t w o, jako cechy naszego narodu, którymi wykazał się on w historii, których przestrzega nadal i na których pragnie swą przyszłość budować. Nie było i nie będzie u nas nocy św. Bartłomieja ani husyckich rzezi, nie będziemy nigdy, jak narody południowe, podrzynać sobie i innym gardel s k r y c i e. Skrytobójcy, działający z pobudek „narodowych" kładą między sobą a narodem przepaść nie do przebycia. Owiani talmudycznym duchem mściwości i okrucieństwa łamią swe „śluby religijne", plamią szeregi, z których wyszli, rzucają cień na całą młodzież. Młodzież polska, od stu z górą lat chowana w hasłach „Ojczyzna — Nauka — Cnota" musi przeżyć głęboki wstrząs, widząc, jak shańbiono te trzy idee, dopuszczając się „dla O j c z y z n y" w przybytku N a u k i potwornego gwałtu na prymitywnych zasadach etyki, C n o t y.

Mordercy z lwowskiej medycyny muszą być odszukani. Kolegom i koleżankom, którzy na własną rękę podjęli zdemaskowanie ich i oddanie w ręce prawa, życzymy szybkiego osiągnięcia celu. Trzeba, by zastosowana była najwyższa przewidziana prawem kara.

Tego domaga się obrażone poczucie prawdziwie n a r o d o w e j godności.

Kiedy jedziecie do wojska, drodzy moi panowie, to tam, niby zaraz, że pole walki! Pole, — ciemięgi! Pole. Pole to jest niedziela, święto, deser, legumina! Masz przetłuc i odcedzić przed tym naszej wojskowej zupy, ile każą. Masz się cały włosem na wierzch obrócić, albo znowu do spodu włosem. Masz przez sen umieć sprawić wszystko, jakby było na jawie. Masz się stać molekułą w ciele twojej wojskowej ojczyzny. Ma to być utwierdzone tak całkowicie, że na to... Że na to nie ma śmierci, narodzin, mamy, taty, imienin, babci, ani żadnej cholery innej. Dopiero wtedy zacznie się w tobie pomalutku, co się wojskiem nazywa. Że ty wiesz, że rozumiesz, że co jest w cywilu niemożliwe, to kiedy sobie powiesz,— to jest wojsko, — już stało się możliwe. Kiedy zrozumiecie to wszyscy, innymi słowy mówiąc, całe pokolenie, no to wtedy ojczyzna twoja bierze sobie spokojnie jasiek pod głowę i może sobie spokojnie spać.

Z opowiadania J. Kadena-Bandrowskiego p. t. Powinność. (Gaz. Pol. nr. 349 z 20 XII. 1938).

Biblioteka Jagiellońska
1003122414
7542
III
CZASOP.
3(1939)

w młodych oczach

czasopismo młodzieży szkolnej

(zatwierdzone do bibliotek uczniowskich dla młodzieży powyżej lat 14-tu przez Min. W. R. i O. P.)

Wyd. przez O. P. O. M. STRAŻ PRZEDNIA

Nr 1 (14) Warszawa, 20 stycznia 1939 r. Rok 3.

WCZORAJ — DZIŚ — JUTRO

2. Dzisiejsze cele *)

Podejmujemy nasze rozważania dalej: „Każda epoka ma swe własne cele i zapomina o wczorajszych snach". O tych wczorajszych snach pisaliśmy w poprzednim nrze. Teraz pora zastanowić się, jakie są cele naszej obecnej epoki. Oczywiście tej epoki, którą przeżywamy na naszych ziemiach i w naszej historii a nie tej, która panuje obecnie np. w U. S. A., w dolinie Gangesu czy kraju walczącego smoka. Epoka, którą przeżywamy jest w dużej mierze wspólna dla wszystkich krajów środka Europy, do których i my należymy. Wiemy dobrze, że w epoce poprzedniej, którą można nazwać — jak kto chce — pozytywistyczną, demoliberalistyczną czy też wolnokapitalistyczną etc. jako państwo ani jako społeczeństwo ani jako naród wielkiego udziału nie braliśmy. Wiek XIX — dla innych wiek postępu — dla nas był wiekiem niewoli i cofania się, wyrzucił nas poza nawias ludów, które tymczasem „płynęły jak klucze żórawi w postęp". Obecnie musimy się włączyć, zazębić o współczesną epokę europejską, co więcej, musimy w ramach tej epoki pomieścić i poprzednią, straconą, czyli, jak to się mówi — odrobić zaniedbania przeszłości. Można by zatem stwierdzić, że mamy przed sobą nie jedną ale dwie epoki naraz do stworzenia, musimy być budowniczymi epoki o zdwojonym znaczeniu. Musimy zdobyć się zatem i na zdwojony wysiłek.

Brzmi to jak frazes osłuchany aż do znudzenia. Ale jest to jedyną prawdą naszej epoki. Gdy się pomyśli przy tym, że czas dzisiejszy na zachodzie, południu i wschodzie jest czasem dużego tempa, wyścigu rozwojowego, wydobywania jak największych wysiłków w budowaniu zbiorowego dobrobytu i bezpieczeństwa, to zaiste myśl ta może nam „sen spędzić z powiek". Tyle przed nami jest roboty i trudu, żeby innych doścignąć w rozwoju, by wyrównać i — prześcignąć, co jest przecież ambicją każdego wielkiego narodu. Chciałoby się przecież patrzeć z dumą na statystykę naszego życia i kraju w porównaniu z obcymi. Chciałoby się w niej widzieć znaki równaniu z wielkimi mocarstwami pod względem kultury, gospodarki, obronności. Niestety dziś nasze roczniki statystyczne zbyt jaskrawo jeszcze podsuwają nam pod oczy niektóre różnice. Dopóki tych różnic nie usuniemy, dopóty nie wolno nam powiedzieć o sobie z czystym sercem, że już jesteśmy mocarstwem. Przedwczesna wiara we własną niezwalczoną potęgę zgubiła już niejeden naród.

A przecież znajdujemy się na dodatek w położeniu geograficznym, w którym niejedno ze społeczeństw czułoby się co najmniej nieswojo. Mimo to przyjezdni cudzoziemscy mówią o naszym społeczeństwie, że jest ono nad podziw spokojne i opanowane.

Czy spokój naszego społeczeństwa płynie z ufności w własną siłę czy tylko z beztroskiego optymizmu, któremu na imię staropolskie: „jakoś to będzie"?

---

*) Por. art. Wczoraj — dziś — jutro. 1. „Wczorajsze sny". W Mł. O. nr. 9(13).

194
7542

Czy wszyscy zdają sobie dziś u nas sprawę, że sny o człowieku doskonałym, o międzynarodowych ideałach, o humanitaryźmie, pacyfiźmie, o naukowo zorganizowanym szczęściu i wspólnocie wszystkich ras i klas straciły dziś bardzo na aktualności? Los sprawił, dzieje chciały, że nie jednostka ludzka i nie ludzkość usypana z pyłu jednostek ale narody jako „kreacje boże" są dziś celem, są właściwą podstawą, na której buduje się postęp i kultura ludzkości.

Czy wszyscy w Polsce zdajemy sobie sprawę, że dzieje nasze naznaczyły nas równocześnie piętnem siły i — słabości? I że dziś równocześnie, na ziemiach naszych żyją członkowie narodu mocnego i ludzie narodu słabego, ludzie ubiegłej epoki! W Polsce odbywa się i musi się rozegrać do końca, aż do zwycięstwa walka o tę siłę. Walka nie na hiszpańską, bratobójczą modłę i nie „bój za błękitami" pięknoduchów i idealistów, marnotrawnych poszukiwaczy coraz to nowych idei w obliczu zaniedbywanej rzeczywistości.

Walka ta jest i być musi bardzo prozaiczna. Poprostu — walka o byt. Nie — własny. A raczej — nietylko własny. Walka a lepiej powiedzieć: praca nad dobrobytem narodowym. Bój na każdej piędzi ziemi o wzrost, o fach, o pracę, o siłę, o sprawność i wiedzę, o człowieka, o każdego w narodzie! Pokolenie piłsudczyków dało nam Polskę wolną i niepodległą i przekształciło ją w Państwo mocne i samodzielne.

Następne pokolenia muszą z niej uczynić naród słynący kulturą i państwo kwitnące dobrobytem. Takie są nasze cele na jutro. A na dziś: uczyć się tego, uczyć się pracy. Uczyć się nie po to, by przysporzyć jednego więcej inteligenta udoskonalonej ludzkości i kulturze, ale jednego więcej żołnierza walczącemu narodowi. Żołnierza wszędzie. W linii i na tyłach, w przemyśle, na roli, w laboratorium, w budownictwie, bojownika narodowej kultury, nauki i sztuki. Wierzymy głęboko w wspólny sens wewnętrzny tych słów: człowiek — obywatel — żołnierz. O przyszłości naszej myślimy jak o placówce. Myślimy nietylko o innych i nietylko o sobie. Myślimy o nas wszystkich razem. I nosimy w tornistrze buławy.

* * *

Właściwie —nie udało się nam może po imieniu nazwać dzisiejszych naszych celów. Trzeba ich nieustannie szukać i formułować na dalszą i bliższą metę. Trzeba to czynić wspólnie, w zespołach i gromadach, łączyć się wspólnym tętnem uczucia i tworzyć wspólny rytm pracy. Taką bowiem chcemy stworzyć nową epokę polską. Za wszystkie dawniej zmarnowane pracowitszą, solidarniejszą i zwycięską. By epoki innych Narodów dziś doścignąć, jutro wyrównać a pojutrze — minąć.

Junacy

Dotąd szkolenie zawodowe w Junackich Hufcach Pracy przechodziło raczej okres prób i doświadczeń. Ograniczało się do szczupłej liczby zawodów, obejmowało niewiele młodzieży.

W listopadzie br. skupiono junaków przeznaczonych do kształcenia zawodowego — w specjalnych batalionach i kompaniach szkolnych. Te szkolne oddziały junackie mają siedzibę w kilku ośrodkach przemysłowo-rzemieślniczych kraju. Z koszar swych uczęszczają junacy na naukę do różnych warsztatów rzemieślniczych, do większych wytwórni i fabryk oraz na kursy zawodowe.

Nad dobroczynnym znaczeniem szkolenia zawodowego w ogóle nie potrzeba się rozwodzić. W przede dniu znacznego uprzemysłowienia Polski przysparza ono przemysłowi i rzemiosłu oraz innym gałęziom naszego życia gospodarczego biegłych zawodowców, a zarazem odciąża przeludnioną wieś od nadmiaru rąk roboczych, podnosi kulturę gospodarczą kraju, przyczynia się do spolszczenia handlu, przemysłu i rzemiosła.

Ogółem we wszystkich jednostkach junackich szkoli się obecnie zawodowo 3.472 junaków i 256 junaczek. Kształcą Junackie Hufce Pracy tę młodzież w 40 różnych zawodach, od ślusarzy samochodowych, wiertników i studniarzy do rolników, stewardów i portierów.

Zasady kształcenia zawodowego w Junackich Hufcach Pracy przedstawiają się jak następuje. Junak obiera sobie zawód sam — podług własnego upodobania i zdolności. Ponieważ szkolenie zawodowe w Junackich Hufcach Pracy odbywa się na koszt państwa, przeto wybiera się doń tylko tych junaków, którzy w ciągu pierwszego półrocza, odznaczają się gorliwością w pracy i którzy mają odpowiednie wykształcenie (4, 6 lub 7 oddziałów szkoły powszechnej, zależnie od zawodu). Szkolenie w rzemiośle trwa, jak zwykły termin rzemieślniczy, 2 do 3 lat; potem junak zdaje egzamin i otrzymuje świadectwo rzemieślnicze. Szkolenie junaków na wykwalifikowanych robotników przemysłowych odbywa się przy odpowiednich fabrykach itd.

Ze wzrostem liczebnym Junackich Hufców Pracy, którego się domaga powszechny głos opinii, liczba młodzieży junackiej szkolonej zawodowo wzrośnie niewątpliwie jeszcze bardziej.

polityka w młodych oczach

WACŁAW LOREK

BUNT POLITYKI PRZECIW GEOGRAFII

Gdybyśmy chcieli zadać sobie pytanie: jaki problem Europy środkowej skupia dzisiaj największą uwagę świata — odpowiedź musiałaby brzmieć: Ruś Podkarpacka. Ten mały, dziki, górzysty i lesisty kraik zrobił dzisiaj oszołamiającą karierę, wysuwając się na czoło zagadnień europejskich.

Może to wydać się dziwne, lecz Ruś Podkarpacka (dla nas — Zakarpacka) znana jest dobrze „z widzenia" licznym rzeszom polskich turystów. Gdy od krzyża Legionów na przełęczy Pantyrskiej idzie się w kierunku schroniska Polskiego Towarzystwa Narciarskiego, można w ten sposób posuwać się wąskim grzbietem, że jedną nogę stawia się w Polsce, a drugą—w Czechosłowacji. Tylko że ten kraj na południowym stoku grzbietu górskiego — to nie żadna „Czecho-Słowacja", o której przed 20 laty nikt tu nie słyszał, tylko właśnie — Ruś Zakarpacka, odwieczne dziedzictwo korony św. Stefana; ziemia — na której przed 20 laty nie było jeszcze ani jednego Czecha.

Turysta polski rzadko przekracza granicę karpatoruską nawet za legitymacją tatrzańską. Ruś Podkarpacka jest typowym kopciuszkiem republiki Czesko-Słowackiej: trudno tam o schroniska, o ścieżki, o zagospodarowane tereny. Po stronie polskiej, na Huculszczyźnie i dalej wzdłuż pasma Gorganów — turysta ma do wyboru szereg zagospodarowanych osiedli, letniska i schroniska.

O „Doboszach", gnieżdżących się w jaskiniach i czyhających na ścieżkach Rusi Zakarpackiej, również krążą głuche wieści po stronie polskiej. Podczas gdy po Janosiku została tylko grota Aksamitka koło Pienin, a po Doboszu na Huculszczyźnie — „Doboszanka na Synyci" i kamień Dobosza w Jaremczu — zakarpaccy zbójnicy mieli być do dnia dzisiejszego żywą rzeczywistością. Jeśli więc dodać do tego opowiadania o rwących strumieniach górskich, przez które niema mostów, o stadach dzików na ścieżkach, o niedźwiedziach, wysysających słodki owies na skrajach poletek góralskich — obraz turystycznych regionów Rusi Zakarpackiej dałoby się scharakteryzować słowami:

„Rozlały rzeki, pełne zwierza bory
I zbójców pełno na drodze..."

* * *

Taka to właśnie dzika i pierwotna kraina górska stała się centrum zainteresowania wielkich mocarstw europejskich. Przeznaczyło ją zresztą do tego jej położenie geograficzne. Polityka i geografia są bowiem ze sobą tak ściśle związane, że jak stwierdził jeden z wybitnych uczonych polskich (prof. Stanisław Srokowski) — „polityka jest tylko geografią, podszytą historią".

To lapidarne sformułowanie znalazło na przykładzie Rusi Podkarpackiej najklasyczniejszą bodaj ilustrację. Paradoksalność sytuacji polega zaś na tym, że elementy te, które normalnie powinny pozostawać ze sobą w stosunku subordynacji (polityka jest funkcją historii i geografii), tutaj wystąpiły w charakterze równorzędnych partnerów. Więcej nawet — polityka pokłóciła się tutaj tak gruntownie z historią i z geografią, że cały „problem Rusi Zakarpackiej" da się sprowadzić do tej jedynej w swoim rodzaju kłótni.

W rzeczy bowiem samej: południowe stoki Karpat, czyli właśnie Ruś Zakarpacka, stanowią niesporną całość geograficzną z basenem Dunaju. Ubogie leśne obszary Rusi grawitują ku swemu przyrodzonemu spichrzowi — żyznej równinie węgierskiej. Wszystkie doliny górskie, wszystkie strumienie mają jednakowy kierunek — z północy na południe. Wszystkie większe osiedla tego regionu znajdują się w jego południowej części. W tych więc warunkach Geografia orzeka kategorycz-

nie: Ruś Zakarpacka stanowi organiczną jedność z basenem Dunaju i winna należeć do tego, kto posiada dolinę węgierską.

Historia na przestrzeni szeregu stuleci kontrasygnowała bezapelacyjnie werdykt Geografii: Ruś stanowiła zawsze jeden z krajów węgierskiej korony, dzieląc z nią dobre i złe czasy. Polityka nie ośmielała się w ciągu wieków całych zgłaszać jakiegokolwiek votum separatum i dopiero za życia obecnego pokolenia rozpoczął się jej nie mający dotąd precedensów bunt.

Bunt ten dokonał się w dwóch etapach. Etapem pierwszym była decyzja Konferencji Pokojowej w Wersalu, włączająca Ruś w granice państwa czesko-słowackiego. Ta nieoczekiwana przez nikogo decyzja była możliwa tylko dzięki wyjątkowemu zbiegowi okoliczności, na który złożyły się: rozpad monarchii austro-węgierskiej, niebywała ignorancja „grubych czwórek" wersalskich oraz konsekwentna i ruchliwa polityka czeska, która potrafiła zdobyć wielkie wpływy w ośrodkach dyspozycji.

Czesi, forsując przyłączenie do ich państwa obszaru Rusi, kierowali się nietylko pożądliwością i chęcią powiększenia ilości kilometrów kwadratowych państwa. Odgrywało tu rolę całe nastawienie ich polityki, zorientowanej przede wszystkim — w kierunku Rosji. „Zawsze z Rosją — z każdą Rosją" — to było nie tylko hasło czeskich narodowych demokratów pod wodzą dr. Kramarza, lecz i wszystkich pozostałych stronnictw czeskich. Być forpocztą Rosji w sercu Europy, oprzeć się o Rosję, mieć wspólną granicę z Rosją — to było marzeniem polityków czeskich. Dlatego też, gdy ustalane były zarysy powojennego układu stosunków, Czesi wytężyli wszystkie siły, ażeby znaleźć się możliwie blisko Rosji. Poruszone zostały wszystkie sprężyny, ażeby oderwać od powalonych Węgier Ruś Zakarpacką i ażeby przesunąć w ten sposób jeszcze o dwieście kilometrów na wschód nowe granice. Wpływy czeskie okazały się istotnie na tyle silne, że decyzja zapadła w pożądanym przez nich sensie. Ruś Podkarpacka — odwieczna i naturalna węgierska domena — została włączona do sztucznego i nieistniejącego nigdy tworu — republiki „czesko-słowackiej".

* * *

Rzecz charakterystyczna, że sami Czesi zdawali sobie dobrze sprawę z nieposiadania przez siebie żadnych tytułów do Rusi. Interpelowany w tej sprawie prezydent Masaryk, oświadczył wyraźnie, że Czechosłowacja uważa Ruś Zakarpacką wyłącznie za depozyt, zastaw, który zwróci przy sprzyjających warunkach — Rosji.

Dla polityków czeskich była bez znaczenia wiekowa łączność Zakarpacia z Węgrami — łączność geopolityczna, historyczna, a w znacznej mierze i etnograficzna. Opierając się na fakcie, że pewna część inteligencji karpatoruskiej wyznawała t. zw. „moskalofilską" orientację, polityka czeska stworzyła specjalną doktrynę o rosyjskości Rusi Zakarpackiej. Więcej nawet — do Rosjan zaliczeni byli nawet zdecydowani przeciwnicy Rosji, uważający siebie za Rusinów lub Ukraińców. W swoim bałwochwalczym kulcie Rosji, w swoim dążeniu do zlania „słowiańskich strumieni w morzu rosyjskim", politycy czescy uważali, że jedna wielka i niepodzielna Rosja miała rozciągać się od karpackich szczytów aż do brzegów oceanu Spokojnego.

To prorosyjskie nastawienie Czecho-Słowacji musiało pociągnąć za sobą ważkie konsekwencje, w stosunku do Polski. Pomiędzy Rusią Zakarpacką a Rosją znajdowała się bowiem — Małopolska Wschodnia. Bez przekroczenia polskiej bariery niemożliwym było osiągnięcie wspólnej granicy czesko-rosyjskiej. Dlatego też polityka czeska od pierwszych chwil powstania swojego państwa przybrała zdecydowanie wrogi Polsce kierunek. Przyłączenie do Czech Rusi Zakarpackiej musiało pociągnąć za sobą w konsekwencji dążenie do oderwania od Polski Ziemi Czerwieńskiej, która według czeskiej doktryny politycznej musiała należeć do białej lub czerwonej Rosji.

* * *

Drugim etapem „buntu polityki" był wynik t. zw. „arbitrażu wiedeńskiego" z października 1938 r. Gdy zawaliło się dotychczasowe państwo czesko-słowackie, musiały powrócić do swych krajów macierzystych obszary o zwartej masie ludności nie-czeskiej. Powróciło więc do Polski Zaolzie, do Niemiec Sudety, wysunęły żądania rewindykacyjne również i Węgry. Sąd polubowny, w skład którego wchodzili ministrowie Niemiec i Włoch, a który za zgodą stron miał ustalić nową granicę czesko-słowacko-węgierską, wydał w Wiedniu wyrok, na mocy którego powrócił do Węgier szereg miast na Słowaczyźnie, na Rusi zaś Podkarpackiej — Użhorod (Ungvar), Mukaczewo i kilka mniejszych. Północny jednak pas kraju, nieposiadający większości węgierskiej, pozostał po dawnemu przy Czecho-Słowacji.

Sytuacja tego wąskiego pasa ziemi, tworzącego dziś właśnie t. zw. problem Rusi Zakarpackiej, jest i paradoksalna i tragiczna zarazem. Pierwszym ciosem, który uniemożliwił rozwój tego kraju, było oderwanie całości Rusi od jej naturalnego zaplecza — Węgier. Ciosem, podniesionym do trzeciej

potęgi, jest jednak obecny podział, obcinający od części północnej wszystkie większe miasta, wszystkie rejony zaopatrywania w żywność oraz jedyną linię kolejową, przebiegającą z zachodu na wschód. Arbitraż wiedeński, nie dopuszczając do przyłączenia całej Rusi do Węgier, stworzył więc dziwoląg geopolityczny, niezdolny do samodzielnego życia i bijący bezpośrednio w interesy ludności.

Ale waga zagadnienia karpatoruskiego nie wyczerpuje się na tym. Ten mały kraik stał się dzisiaj terenem ścierania się potężnych sił, decydujących o losach Europy. Na terenie Rusi Zakarpackiej starły się dzisiaj interesy: Niemiec, Węgier, Polski, Rumunii, Czechosłowacji i Rosji Sowieckiej. Ruś Podkarpacka stała się dzisiaj terenem eksperymentów politycznych, mogących mieć najpoważniejsze konsekwencje. Po załamaniu się dawnej republiki Edwarda Benesza, Czesi przekształcili swoje państwo na federację, montując na terenie Rusi autonomiczne „ukraińskie" państewko. Została zmieniona nawet nazwa tego kraju, który dzisiaj nazywa się „Karpato-Ukraina".

Opinia świata zgodna jest w ocenie ukrytych sprężyn całej tej akcji. Najpoważniejsze organa prasowe wskazują otwarcie, że działają tu decydujące wpływy niemieckie. Trzecia Rzesza wskazywała niejednokrotnie przez usta swych ideologów, że dążeniem jej jest ekspansja na Wschód, w kierunku Ukrainy. Stworzenie małego „ukraińskiego" państewka stanowi więc pierwszy etap, który pozwolić ma na realizację celów dalszych, godzących w całość terytorialną wszystkich państw, posiadających ludność ukraińską. W problemie Rusi Podkarpackiej zainteresowane są więc zarówno oddalone od niej Sowiety, jak i granicząca z nią bezpośrednio Polska. Z tego punktu widzenia zrozumiałym staje się krok Rządu Polskiego, który potwierdził wolę swoją do utrzymywania ze wschodnim sąsiadem poprawnych stosunków.

Wąskie pasemko Rusi Zakarpackiej oddziela dziś Polskę od Węgier. O 40 klm. od granicy polskiej stoją zastępy bratniego i rycerskiego narodu, który czynem wykazywał niejednokrotnie przyjaźń swą dla Rzeczpospolitej. Potężne wpływy, które działały w okresie arbitrażu wiedeńskiego, nie pozwoliły na realizację wspólnej granicy polsko-węgierskiej. Publiczną jest tajemnicą, że o ile Włochy popierają ideę odbudowy tej historycznej granicy, o tyle Niemcy były temu zdecydowanie przeciwne.

Dwa historyczne narody, które w ciągu stuleci potrafiły zachować przyjaźń, a dzisiaj grawitują ku sobie, pragnąc wesprzeć się braterskim ramieniem, nie mogą jednak ten stan rzeczy uznać za ostateczny. I dlatego problem Rusi Zakarpackiej pozostaje nadal — otwarty.

BOMBY NAD MIASTEM

Wojnę nowoczesną, wojnę „totalną", cechują przede wszystkim napady bombowców na miasta. Celem tych napadów jest głównie wywarcie demoralizującego wpływu na ludność, ponadto zaś bombardowanie węzłów kolejowych, fabryk, lotnisk, magazynów itp. Bombardowanie tych celów wojskowych musi zawsze pociągnąć za sobą straty ludności cywilnej. To trzeba sobie dobrze uświadomić i być do tego przygotowanym. Jeżeli Hiszpanie bombardują w sposób bezwzględny swoją ludność, należącą do tego samego narodu, to nie można się łudzić, aby napastnik miał jakiekolwiek skrupuły w tym względzie. Naloty bombowe odbywać się będą w dzień i w nocy. Według obecnych poglądów, panujących w taktyce lotniczej, wykonanie tych nalotów przedstawia się następująco: Wyprawa bombowa dzienna na duży cel składa się najmniej z jednego dywizjonu bombowego (zazwyczaj 3 eskadry po 6—9 samolotów, a częściej z 2-ch, 3-ch, lub 4-ch dywizjonów). Zatem na miasto nalatuje 18 do 100 samolotów w szerokim ugrupowaniu. W zależności od pogody oraz czynnych środków obrony przeciwlotniczych miast (stwierdzonej w czasie poprzednich nalotów lub drogą wywiadu) wyprawa leci na małej, średniej lub dużej wysokości. Przy dobrej pogodzie nieprzyjaciel najczęściej poleci nad dużym miastem na wysokości około 3000 m, w obawie przed artylerią przeciwlotniczą: przy dużym zachmurzeniu poleci pod chmurami lub też nad chmurami i wyłoni się z nich bezpośrednio przed miastem. Celność bombardowania z wysokości 2000 m jest stosunkowo mała, jednak każda bomba zrzucona na gęsto zaludnione miasto jest skuteczna, pomimo że nie trafia w cel, który sobie nieprzyjaciel wybrał do bombardowania.

Przy bombardowaniu miast a zwłaszcza Madrytu, stosowano w obecnej wojnie hiszpańskiej bomby 100 i 300 kg oraz bomby zapalające. Bomba 100 kg, trafiając w dom murowany, przebija dach i dwa piętra. Bomba 300 kg przebija czteropiętrową kamienicę i zatrzymuje się dopiero w piwnicy. Bomby burzące (50, 100 i 300 kg) trafiając w jezdnię i chodniki, tworzą wyrwy o szerokości do 4 metrów i głębokości około 2 m, niszcząc urządzenia kanalizacyjne, gazowe i elektryczne.

Do skutków bombardowania należą straty w ludności, zabici i ranni. Doświadczenia jednak wielkiej wojny wykazały, że znacznie większa jest ilość strat ludzkich, spowodowanych przez popłoch w chwili napadu lotniczego, jak przez samo bombardowanie. Dlatego też opanowanie popłochu pozostaje nadal najistotniejszym składnikiem zagadnienia obrony przeciwlotniczej miast. Wpływ moralny nalotów bombowych jest bardzo doniosły. W czasie wojny światowej zniszczenia materialne i straty w ludziach na skutek bombardowań lotniczych były stosunkowo małe, natomiast wpływ moralny wyrażał się w ogromnym obniżeniu wytwórczości w napadanych obszarach (nieraz do 75%) wskutek nie stawienia się do pracy, w nerwowym i płochliwym nastroju, w masowych ucieczkach z miast.

Jeżeli więc naród nie będzie odpowiednio wychowany, można w przyszłej wojnie oczekiwać całkowitego obezwładnienia przemysłu, wskutek wpływu moralnego nalotów bombowych, co może bezpośrednio przyczynić się do przegrania wojny. Wojnę prowadzi obecnie cały naród, straty więc muszą być siłą rzeczy na froncie i na tyłach. Z tym trzeba się liczyć, trzeba umieć patrzeć mężnie niebezpieczeństwu w oczy i starać się uczynić wszystko, aby straty zmniejszyć.

Czy jest to możliwe? Bezwzględnie tak. Zdaniem generała Fullera, doświadczonego obrońcy Londynu, trzeba tylko urzeczywistnić następujące składniki obrony: organizację władz miejskich, organizację ludności, bezpośrednie środki obrony.

Porządek i karność pozwolą opanować niebezpieczną psychozę popłochu i zmniejszyć straty. Społeczeństwo musi wydatkować odpowiednie sumy na środki obrony przeciwlotniczej i na własne silne lotnictwo, by żaden wróg nie mógł o nas mówić słowami Aldousa Huxleya z „Drwiącego Piłata":

„Cokolwiek się stanie, każdy wie:
My mamy strzelby — oni nie".



PRZEŻDZIK MARIAN (Kielce).

WIECZÓR

Najtrudniej jest przeżyć wieczór.
Trzeba rozdzierać ciszę aż do własnego krzyku,
by nagą pustkę w rozwartych ujrzeć dłoniach. —

Nie wiem, może najlepiej w bezkres patrzeć...
— można gamy kolorów o zachodzie do oczu przybliżać,
i pieśń układać bez słów.
Takiej pieśni nikt nigdy nie śpiewał, —
umiera w oczach łzami ciężkimi jak ołów...

Czasem wieczorami pachną kwiaty,
— pachną tak silnie jak czyjeś zatarte dniami słowa...
— I wtedy jest najciężej przeliczać godziny,
rozgarniać dłonią półmrok i szukać daremnie,
zasnutych mgłą oczu. —

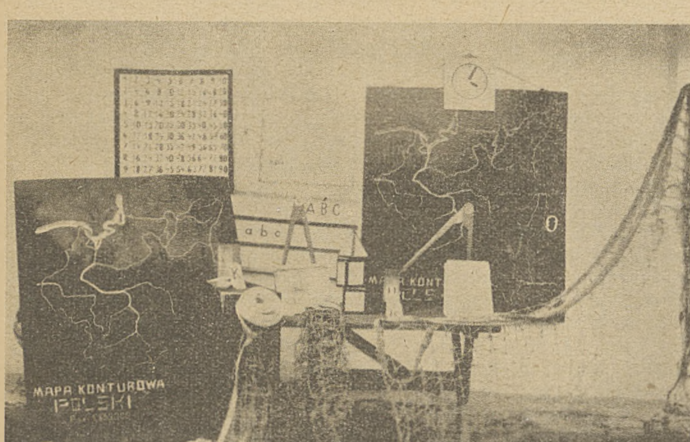
Dziś ktoś mi przyniósł jesienne cudne wrzosy —
...myślę, że najlepiej przyłożyć je do twarzy
i tak oddzielić przeszłość,
zniszczyć wspomnienia snami po nocach rozsiane.
Bo najtrudniej jest przeżyć wieczór...
— nawet gwiazdy nie wypalą tęsknoty jak wieczność.

W taki wieczór można przekląć życie.

CZESŁAW DOMARADZKI

LATARNIE

Rosły sosny
w lesie zielonym,
maszty wyniosłe,
miedziane czerwone,
s o s n y.
Teraz stoją długim prostym rzędem,
w z d ł u ż krawężnika ,
by nagle za skrętem,
zniknąć,
łączą je cienkie szpagaty,
obwisłych latem,
drutów,
za dnia śpią z nudów,
wyciągając naprzeciw ulicy
swoje lekkie metalowe przecznice,
osiem metrów nad jezdnią,
nocą lśni parada gwiezdna,
defilada,
kołysanych wiatrem lamp,
gdy nad miastem,
w błękitnym suficie,
polerowanym nadmiernym blaskiem,
zalśni blada rakieta,
i poświatę chwilową mrok rozgarnia,
przestaną królować w uśpionym mieście,
oczy
nocy,
l a t a r n i e.





Przy takiej pracy społecznej nie ma czasu na gadanie

1. Pomoce dla szkoły wiejskiej wykonane przez zespół strażowy.

2. Strażowiec przy pracy.

JAN NOWAKOWSKI

Cavour polskiego Piemontu —

STANISŁAW SZCZEPANOWSKI

(W piędziesięciolecie „Nędzy Galicji")

Napróżno oczekiwała na swego gościa biała kabina admiralskiego statku. Wśród świty wojskowej i wytwornych panów służby cywilnej Jego Królewskiej Wysokości, udającej się w ważną podróż oficjalną do ziem Cesarstwa Indyj, brakło młodego gentlemana, oznaczonego w dokładnym spisie osób, zaszczyconych dostojeństwem towarzyszenia monarsze — jako Mr. Prus. W teczce wysokiego ministra dominiów i kolonii spoczywał tylko obszerny memoriał opracowany przez tego, który w tak dziwny sposób zawiódł oczekiwanie najwyższych czynników Imperium Wielkiej Brytanii. Chłodny i opanowany minister — rzecz niezwykła u niego — poraz niewiadomo który odtwarzał w swym umyśle dramatyczną scenę, jaka poprzedziła owo nieprzybycie Mr. Prusa na pancernik, wiozący J. C. i K. Wysokość, Księcia Walii, mimo osobistego życzenia przyszłego Edwarda VII.

Brytyjski obywatel, nazywany angielską modłą krótko „Mr. Prus", a właściwiej — Stanisław Prus - Szczepanowski, był autorem opracowanego w India Office planu gospodarczego podniesienia Indii i planu finansowego budowy kolei indyjskich. Gdy genialne projekty zostały uznane za podstawę polityki ekonomicznej Rządu J. K. Mości, a udający się w podróż do Perły Imperium Książę Walii, darzący przyjaźnią niezwykle zdolnego pracownika, zaproszeniem do towarzyszenia sobie w podróży w charakterze osobistego doradcy otwierał przed nim wspaniałą drogę kariery — Mr. Prus nagle odmówił.

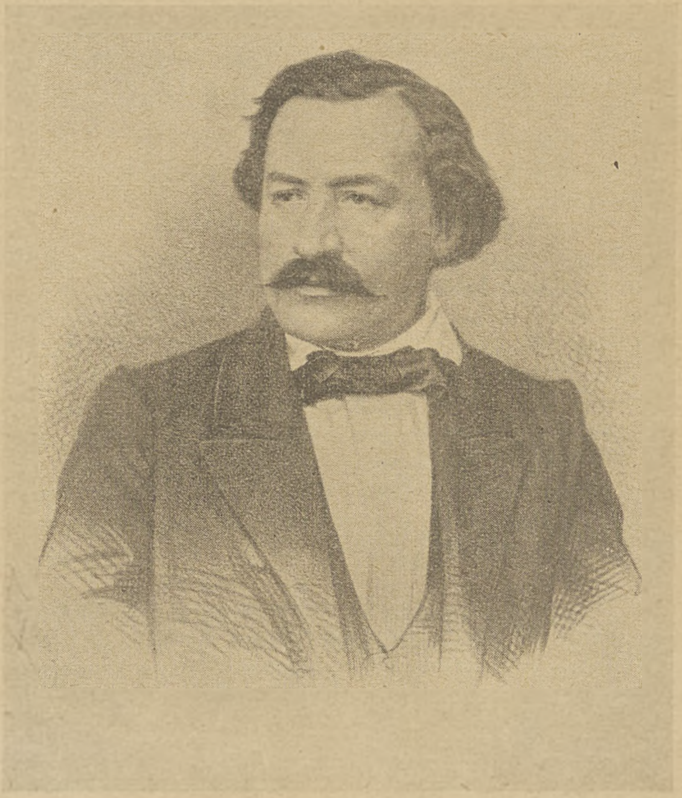
Zgłosiwszy się późnym wieczorem u ministra przedstawił swoje motywy. Kierownik polityki kolonialnej olbrzymiego Imperium, nad którym słońce nie zachodziło i nie zachodzi nigdy, nie umiał ich pojąć, lecz potrafił w instynkcie swym odczuć i uszanować. Z żalem podał mu rękę — by pożegnać na zawsze.

Rozeszły się drogi Imperium Wielkiej Brytanii, nad którym słońce nigdy nie zachodziło, — i Stanisława Szczepanowskiego.

Kabina na admiralskim pancerniku pozostała niezajęta aż do Bombayu — a w ciemnej kajucie trzeciej klasy brudnego parowczyka miotanego przez krótkie a gwałtowne fale La Manche siedział u okrągłego okienka, zalewanego przez zielone wody i obryzgiwanego rozbitą na miazgę pianą mórz, młody człowiek o słowiańskich, lecz energicznych rysach i jasnych, nieco zwichrzonych, z wysokiego, otwartego czoła odrzuconych włosach. Głęboko osadzone oczy w tej celtycko - lechickiej twarzy niespokojnie rozrzucały stalowe zimne błyski nieugiętej woli.

Później napisze: „Jako niepoprawny członek narodu, walczącego o swoje prawa, postanowiłem przeszukać świat za wszystkim, co by mi w tej walce pomóc mogło, co by mogło dodać otuchy i dostarczyć środków do walki".

Gdy ojciec jego, również niepoprawny członek narodu walczącego, skazany na śmierć przez władze austriackie uczestnik Wielkiej Emigracji — pod przybranym imieniem buduje linie kolejowe na Węgrzech, Stanisław Szczepanowski o własnych siłach i zasobach prowadzi studia na politechnice wiedeńskiej, w Paryżu, wreszcie w Londynie. „Porzucam przedwczesne plany praktyczne i zupełnie się poddaję popędom umysłu mojego. Nie mam teraz żadnego innego celu bezpośredniego, jak tylko nabycie najwyższego wykształcenia indywidualnego, którego można nabyć w Europie". I cel swój chyba osiąga. Tymczasem zaś wrasta w życie Anglii, podziwia jego ład i strukturę, uczy się tajemnicy angielskiego powodzenia życiowego, brytyjskiego imperializmu, wchłania w siebie ideał szlachetnego gentlemana, ów wykwit kultury angielskiego wieku XIX-go. Podpatruje tajemnicę stopu idealizmu z praktycznością i dzielnością życiową. Głębokie studia w India Office otwierają mu oczy na znaczenie warunków gospodarczych dla życia krajów i narodów, a z zadumy nad charakterem narodów Europy i nad mrowiskiem ludów Azji wyrosła przed jego świadomością myśl następująca, myśl - hasło, myśl - bicz smagający po leniwych piętach: „Nie ma nic, co by narody bardziej dzieliło, nad różnicę narodów czynnych i narodów biernych". Szczepanowski w dalekim, mglistym Londynie ujrzał z niesamowitą jasnością los Polski — która albo będzie narodem czynnym, albo narodem być przestanie.



Porzuciwszy miraże osobistej kariery — powraca, dziwaczny Judym-Wokulski w jednej osobie śmiesznego na tle szerokich morskich szlaków pielgrzyma,

pieczołowicie chroniącego oburącz swą nową ,,ideę polską". Powraca — naród budzić, jeden więcej z plejady zagryzionych na śmierć fantastów.

...Na kamiennych bulwarach obcego portu wobec huczącego morza i poszarpanego nieba siekącego wściekłą nawałnicą, wśród chaosu i wirowiska, wśród przekleństw różnojęzycznych i pod grozą zawisających na dźwigach beczek i skrzyń, zagrażających zmiażdżeniem nieostrożnych widzów i przechodniów, — w błoto wdeptana szara gromada ludzka.

Otępiałe twarze i pełne kamiennego umęczenia oczy. Zastygły wyraz nic nie pojmującego przerażenia.

— Co to za ludzie?

— Polnische Vieh. Emigranci z Galicji. Czekają na statek do Ameryki.

* * *

Turkoczący po szynach wagon unosi zmęczone ciało i niezmordowaną myśl Szczepanowskiego, marzącego o roli Cavoura — ku Galicji, z której uczynić postanowił Piemont polski, skąd wyjdzie odrodzenie. Naprzód gospodarcze i moralne, później polityczne. Jesteśmy w r. 1879. Szczepanowski jest nieodrodnym, choć zbuntowanym i genialnym, dzieckiem swego wieku. Buchający gwałtownie płomień serca zamyka w azbestowej koszulce zamorskiej. Włókna tkać będzie z danych statystyki, a gorejące ognisko poniesie mocną dłonią w mroczne głębiny ziemi, na której bytuje głodny lud.

Drapując się jakby mimowiednie w kształt pątniczy, niby ów wieczysty pielgrzym z Avenue de Tokio w Paryżu, wyrzezany dłutem francuskiego rzeźbiarza, ziemię tę swoją obiecaną mierzy wzdłuż i wszerz własną stopą. W samotnych wędrówkach wielomiesięcznych zanurzać się będzie w cieniste gąszcze świętych pierwobrzóz, wdzierać na grzbiety Bieszczadów, Czarnohory, wchodzić z nisko pochyloną głową do kurnych chat chłopów galicyjskich, zanurzy się w ich otchłani ciemnej, beznadziejnej, ziejącej smrodem brudu, oparami samogonu, gorączką głodową... Zanurzy się z sercem, lecz nie z głową, którą zachowa swobodną i chłodną, zatrudnioną upartym myśleniem i kalkulacją.

Kij pielgrzymi zamieniając często w jakąś czarodziejską różdżkę różdżkarza odkrywającego bogactwa wnętrzności ziemi, dzięki nowym studiom specjalnym w zakresie geologii i kopalnictwa — zdał sobie sprawę z utajonych, niewyzyskanych zasobów kopalnych południa Polski. A tym samym z całej drastycznej i bolesnej dysproporcji między bogactwem podłoża a — nędzą człowieka.

Przeto to wszystko, co widział — a widział sam wszystko, — co zrozumiał, co zdołał ująć w długie kolumny statystyki prześwietlonej widzącym uczuciem, zamknął w rozrachunku, w bolesnej a głośnej, na on czas sensacyjnej i skandalicznej, książce: ,,Nędza Galicji w cyfrach i program energicznego rozwoju gospodarstwa krajowego." Pierwsze wydanie książki, która przysłowiem uczyniła ,,nędzę galicyjską" ukazało się w r. 1888, pięćdziesiąt lat temu, a drugie już w 1890. Wstrząsające wrażenie na czytającej publiczności polskiej wywarły wyniki obserwacji rzeczywistości: ,,Przeciętny Galicjanin je za pół, a pracuje za ćwierć człowieka. Kiepsko pracuje, bo się nędznie żywi, a nie może się lepiej żywić, bo za mało pracuje. Jak ogniwa jednego łańcucha, tak szlachcic - utracjusz, mieszczanin - kołtun, chłop - tuman i żyd - pijawka trzymają się razem, są nierozerwalnymi rysami tego samego obrazu... Jest to zaklęte koło, z którego trzeba szukać wyjścia".

Szczepanowski - pielgrzym, Szczepanowski - prorok rzuci się z intensywną energią do ratowania. Słowem gorącym, piórem giętkim i ostrym walczyć będzie, pobudzać, ostrzegać, nawracać. Znów mu turkoczą koła ekspresów niosących go skroś ciemnych, nieprzespanych nocy. Żegnają go łuny płonące nad Wiedniem, witają światła Lwowa. I znów go niosą pośpieszne koła pociągu, w kłębach pary wspinającego się ku wyżom Kołomyi.

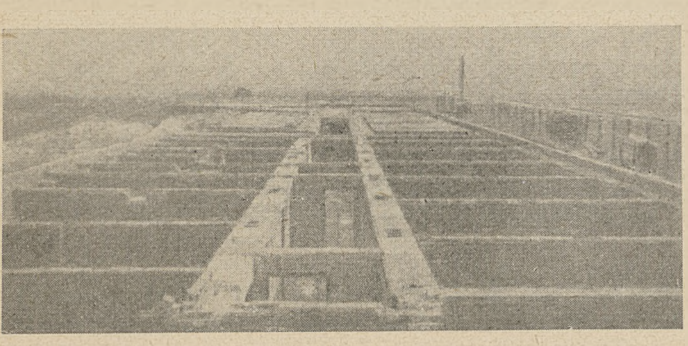
Poseł do parlamentu wiedeńskiego, w gorących eksplozjach wybuchać będzie niepohamowanym gniewem i smagać ostrą ironią Żelaznego Kanclerza,*) który jeden jeszcze wierzył w moc narodu polskiego i lękał się jego siły ciskając weń coraz sroższymi prześladowaniami. Odetnie się też ostro od rojeń panslawizmu—a rozentuzjazmowany Lwów wyprzęgnie mu konie z powozu.

We Lwowie rzuci z areny sejmowej stare a zapomniane hasło: ,,skarb i oświata". I walczyć będzie uparcie o prawa Galicji do samodzielnego rozwoju gospodarczego.

Nocą porywał go ekspres, pędzącego z najpilniejszą interwencją nad Dunaj, nocą następną oddawał go pociąg ulubionej, umiłowanej pracy na Podkarpaciu, w królestwie, którego był stwórcą i władcą.

Bo oto różdżka pielgrzymia wykwitła obłokami pary, a wnętrzności ziemi przeszyły gwałtowne dreszcze.

Mr. Prus z Idia Office, autor znakomitego projektu rozwoju gospodarczego perły korony brytyjskiej — ujrzał oto inną perłę, którą odczyścić trzeba i odszlifować, a rozbłyśnie skrami bogactwa — naftę.



Tak wygląda od lat 4-ch druga (!) szkoła średnia dla Polaków w Niemczech. Raciborz.

W ostatnim półtoraroczu na zachodnim pograniczu Polski powstały 92 nowe placówki handlowe i rzemieślnicze, założone przez Niemców. Rozmieszczenie tych placówek przedstawia się następująco:

Leszno 10, Rychtal 1, Wolsztyn 2, Międzychód 2, Pniewy 2; Nowy Tomyśl 6, pow. Nowy Tomyśl 17, Chodzież 7, Czarnków 11, Szamocin 4, Wągrowiec 11, Mieścisko 7, Rogoźno 12.

Placówek tych nie mogą utrzymać sami Niemcy, są więc one niewątpliwie utrzymywane w dużej mierze przez tę część społeczeństwa polskiego, która nie zdaje sobie sprawy z niebezpieczeństwa, jakie powstaje w związku z postępem niemieckich sił gospodarczych, a w ślad za tym sił politycznych na ziemiach przygranicznych.

*) Bismarck.

Nowela «W Młodych Oczach»

Czesław Domaradzki.

CHOINKA

Nazywał się Migała. Ułan Jan Migała. W szwadronie był już od bardzo, bardzo dawna; tak dawno, że nawet sam wachmistrz Breza, który w Tyflisie organizował pułk, opowiadał, że gdy wyszedł od rotmistrza Skulicza z rozkazem zaczęcia roboty — na dziedzińcu zameldował mu się Migała. Ile w tym było prawdy — niewiadomo — w każdym bądź razie Migałę pamiętali nawet najstarsi szwadronowi wyżeracze, jako pierwszego spotkanego, po przyjęciu do pułku ułana...

Kolegów Migała nie miał. Część dawnych jego przyjaciół wyginęła w czasie pierwszego marszu do kraju, część po awansie została przeniesiona do innych oddziałów — tylko Migała trwał wiernie przy rotmistrzu i wachmistrzu; w najcięższych nawet chwilach. Mimo, iż do nikogo specjalnie się nie zbliżał i w gruncie rzeczy miał w szwadronie utartą opinię ofermy — lubili go wszyscy. Miał jeszcze jedną cechę, stosunkowo pospolitą, ale u niego specjalnie „wysoce zorganizowaną": Migała klął. Klął tak piekielnie, z talentem, ba, z głębokim uczuciem, jak to tylko uł potrafi — nie używał specjalnie popularnych wyrażeń w stylu „choler" i „psiekrwi" — każde jego przekleństwo, nieraz pięć do dziesięciu minut trwające, było małym poematem, w którym z prawdziwie epickim talentem były szczegółowo opisane charakterystyczne cechy podmiotu... Ale to ma bardzo mało wspólnego ze sprawą choinki — zaznaczyć jednak należy gwoli ścisłości, że Migała nigdy nie klął swej „Zimy" — zdobycznej na bolszewickim komisarzu klaczy.

Była zima. Szwadron zapadł na leże na linii Zbrucza, przerzucając się od czasu do czasu z jednej wioski do drugiej od Okopów Św. Trójcy po Toki i raz na tydzień dla wprawy czyniąc wypady na „tamtą stronę". Na kwaterach grano całymi dniami w karty, przeważnie na słowo honoru, gdyż polska armia była prawdopodobnie po pięciu latach walk — najuboższą, nie miała wojennej zdobyczy; pito kwas chlebowy fabrykowany przez miejscowe „haziajki", z dnia na dzień opędzano nudę w oczekiwaniu wiosny, świeżej trawy dla koni i „prawdziwej" wojny. Najbardziej jednak nudziło się Migale: w karty nie grał, bo nie umiał, kwasu nie pił, bo mu szkodził — leżał więc całymi dniami na zapiecku w oczekiwaniu wachmistrza, który od czasu do czasu znajdował dlań jakiś samotny furażowy wypad. Gdyby nie to—Migala—jak sam o sobie mówił — „skonałby z patrzenia we własne, z braku innej pracy, wyczyszczone paznokcie...".

Migała spał na zapiecku w chałupie, w której prócz niego kwaterowało jeszcze trzech ułanów. Dwaj z nich, ex-studenci charkowskiego uniwersytetu rozgrywali nieśmiertelną partię szachów, trzeci pisał list do narzeczonej, choć ani przez chwilę nie myślał, że dojdzie on kiedykolwiek do rąk adresatki.

Wszedł wachmistrz Breza. Nikt nie zerwał się na baczność, ledwo jeden z graczy raczył odmruknąć pod nosem „czołem". Wachmistrz rozejrzał się po izbie, zaglądnął za piec, gdzie zazwyczaj sypiał Migała:

— Janek! Wstawaj!

Tamten przetarłszy oczy, wymamrotał pod nosem jakieś milowe przekleństwo, w którym co chwila powtarzało się „ułańska i końska jego dola" i zapaliwszy wygaszoną przez sen fajkę, czekał. Breza mówił. Półgłosem, prawie szeptem, a że psy szczekały w obejściu i przy studni gospodyni kłóciła się z jakimś kapralem, który rozlał wodę na ścieżce, więc nie było słychać, co mówił. Raz tylko piszący list ułan dosłyszał słowa: choinka i potem: pięćdziesiąt wiorst; skończyli.

Po wyjściu Brezy opadli go wszyscy i we trzech zasypali pytaniami:

— Po co? gdzie? kiedy wróci? On rozglądał się za kożuchem i poświstując przez zęby jakąś melodię, wcale nie zwracał na nich uwagi. Wreszcie raczył rzucić na odczepne, że jedzie czorta przywieźć dla szwadronu na gwiazdkę, żeby im się nie nudziło. Wtedy przyszło na nich olśnienie, że przecież to już jutro — wigilia...

Jechał białym lukrowanym śniegiem stepem. Cichy, roziskrzony grudniowy poranek słał swój olśniewająco biały płaszcz pod kopyta Migałowej „Zimy". Ona, jakby czuła, że jedzie spowrotem na kwaterę wciąż zrywała cugle i długimi szczupakami sadziła za jadącymi kilkaset metrów w przodzie saniami. Na nich to wiózł parobek ze Skoryk „wyczarowaną" przez Migałę od właściciela dworu choinę (wyciętą z dworskiego gazonu), dwie beczki ryb i antałek starki. Tego cudu mógł dokonać tylko Migała: wachmistrz kazał mu przywieźć choinę z odległego o pięćdziesiąt wiorst boru. On ją znalazł już w spotkanym na dziesiątym kilometrze dworze — reszta już była sprawą ułańskiej elokwencji i narodowego sentymentu pana domu, któryby z pod ziemi wydostał i panom-braciom, polskim żołnierzom, tymbardziej ułanom dał, czego tylko żądali. A że czasy były ciężkie i piwniczka opustoszała, więc sumitował się, że tylko jeden antałek i ryb tylko dwie beczułki... Rozmyślał o tym Migała, uśmiechając się pod wąsem i wyobrażając sobie, jaką szwadronowi zrobi uciechę. Tymczasem sanie zajechały za wzgórze, „Zima" znów zerwała z kopyta. Ściągnął mocniej cugle, chcąc ją powstrzymać, gdy usłyszał krzyk: „Hospo..." zdławiony i jakby zamarły w powietrzu. Zlekka obleciał go strach, choć nie wiedział jeszcze, co się dzieje za górką. Jednak dał koniowi ostrogę i ruszył galopem świeżymi koleinami sani. Dojechawszy do szczytu oprzytomniał: jeśli chłopa napadli czerwoni, sam prawdopodobnie nie da im rady: jest ich pewno kilku. Wstrzymał więc konia i zlazłszy z niego wolno szedł ku szczytowi. Wreszcie zobaczył: trzech czerwonych kozaków, zsiadłszy z koni, otoczyło sanie. Bili teraz chłopa, pytając—o co?—tego Migała nie słyszał. Wiedział tylko jedno, że chcą mu zabrać... choinkę. Przypomniała mu się ojcowska chałupa na Kujawach z zamarzniętymi szybami, w której rodzina zasiądzie dziś do nakrytego białą płachtą stołu — w rogu będzie stało drzewko, obwieszone kolorowymi, z opłatka ulepionymi

(dok. na str. 16-tej)

K O L U M N A

Żale J. T. N. nad pseudogrobem Tatr

Gdy przeczytałem artykuł kol. J. T. N. „Serca młodości bez Tatr", byłem zdumiony przekonywującą treścią, która wyrażała się w tak pięknej, suplikacyjnej formie: „Ach pionierzy postępu, któż po was do czystego ładu przywróci ziemię strapioną!" Trudno nie poddać się refleksji. Starałem się „przeżyć" uczucia autora. Zapatrzyłem się w jakiś niewidoczny punkt i znieruchomiałem. I oto z nicości sinej otaczającej mnie przestrzeni zaczęły wyłaniać się zarysy gór. Tatry! Tatry jęczące od huku toporów i walących się drzew. Na najwyższym szczycie ujrzałem siedzącego kol. J. T. N. w wyszarzałym romantycznym płaszczem z lirą w dłoni. Z drżących ust płynęły przerywane łkaniem słowa: — O Tatry! Na waszym grobie składam rozdarte serce moje

„...i tę lutnię biedną.
I oto mój sprzęt cały —
Łzy mi tylko jedne zostały".

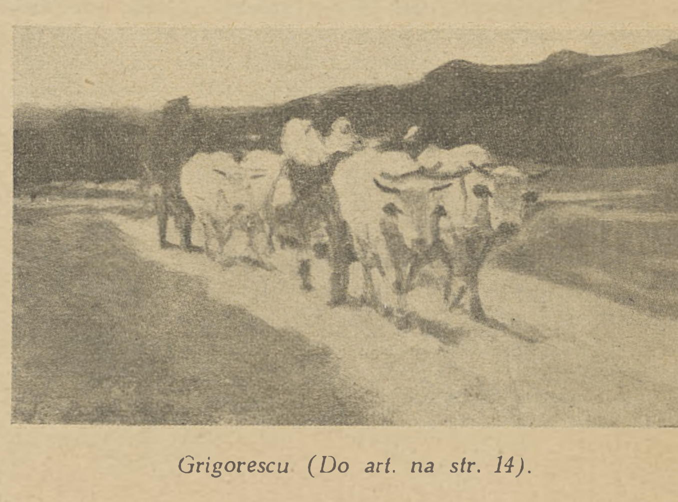
Ogarnęła mnie szczera chęć śmiechu, ale w tej chwili widzenie prysło. Postanowiłem odszukać autora i przeprosić za chwilowy nieobliczalny swój stan psychiczny... Wyszedł naprzeciwko mnie z za czarnych kolumn artykułu. Rozmawiamy...

Przede wszystkim tytuł — „Serca młodości — bez Tatr". Młodość jest zbyt zbyt szerokim pojęciem i nie można jej zakresu ścieśniać do jakiejś tam romantycznej grupki, poszerzając tym kosztem fałszywą treść. A czy to odbiera nam Tatry, jeśli ktoś przytuli się do ich łona białym czy czerwonym hotelikiem? Odpowie mi autor na pewno, że jestem młodym starcem, nieczułym na piękno natury, że jestem zwolennikiem „materializmu myślenia", odrzucającego nierentowne przesądy", przedstawicielem „materialistycznego ustroju mierzącego wszelkie dobra skalą kapitału". Nieprawda! Jestem młody, pełen życia i energii! Kocham wszystko, co mnie otacza: góry, morze, niziny i wyżyny, błota i piaski.. Nie jestem zwolennikiem tych, co widzą sens jedyny w ciągłym gromadzeniu prywatnego kapitału i są niewolnikami zmiennego uśmiechu giełdy. Zasadnicza różnica naszych poglądów tkwi w tym, że J. T. N. widzi tylko piękno tam, gdzie n i e m a c z ł o w i e k a, dla mnie — wszystko jest piękne. Poezję zawiera w sobie i szumiąca „puszcza jodłowa" i fura gnoju chłopskimi końmi na pole ciągniona. Młodość nasza nie może tęsknić do rozszemranych lasami nocy pod banalnymi spojrzeniami romantycznych księżyców. To nie są czasy z przed stu lub więcej lat. Przyszedł człowiek inny, „szary" jak go autor nazywa, tylko nie taki „jak milimetr, gram, jak szyling". Nie jest on również „miarą schematyczną, umowną, powszechną, jednoznaczną". W każdym państwie wyrósł inny, o swoistej strukturze wewnętrznej, uzależnionej od warunków bytowania — o i n n e j duszy. A właściwie — rzecz zasadnicza — n i e m a s z a r e g o c z ł o w i e k a! My wszyscy musimy być dziś wielcy, mistrzowie w swoim zawodzie. Ułożenie życia z cyfr w imię dobra ogółu, dobra państwa, wymaga też artyzmu, na który nie każdego stać. Na każdym miejscu, które człowiek nawiedza, zostawia ślady godne jego wewnętrznego świata. Podobnie rzecz ma się z Tatrami. Do Tatr przyszedł człowiek, zagnieździł się i przemawia tym, co czyni. To prawda, że wygląd zewnętrzny dzikiej krainy uległ zmianie, ale to nie zmienia treści. Tatry pozostaną dla nas zawsze drogie choćby w innej szacie, tak jak drogim jest zawsze bliski nam człowiek bez względu na to, jakie przywdzieje ubranie. Bo Tatry to nie forma. Tatry to nasza treść, to krew nasza, nie jakiś fantastyczny obrazek. D a w n i e j k i l k u D o n K i c h o t ó w b y ł o w p o s i a d a n i u t a j e m n i c y T a t r, a dziś dzięki tym inowacjom, na które skarży się kolega, stają się one w ł a s n o ś c i ą s z e r o k i c h k ó ł s p o ł e c z e ń s t w a. Nie stracą one uroku nawet wtedy, gdy nad ich przełęczami zawiśnie kolejka górska, a na szczycie stanie „kiosk lub leicarz". I myślę, że niedaleki jest dzień gdy J. T. N. sam wsiądzie w kolejkę górską i z jej okien chłonąć będzie także urok gór. Jeśli Szan. Autor szuka poezji, chce nią żyć, to znajdzie ją nawet na Czarnym Śląsku. Piękno można znaleźć na każdym miejscu, a poezją jest to, co rodzi się w duszy. Kto tego w sobie nie ma, nie wytworzy jej sztucznie, choćby go zostawiono sam na sam z najdzikszym rejonem Tatr. I jeszcze jedno — poezja powinna wyprzedzać epokę! Nie Tatry ale z a p o r a w R o ż n o w i e (jak już ktoś powiedział): — „to jest poezja narodu".

A Gdynia, a „C. O. P.", strzelający w niebo codzień nowymi gmachami? To poezja, tylko nie abstrakt, a siła. Naszej młodości potrzeba siły i zamachu — a to jest pięknem poezji. Na takiej poezji — mamy się wychowywać, a nie — wyrastać na komicznych Filonów.

Nikt nam nie odbiera Tatr. Pozostaną z nami. Dla jednych będą kolejką linową, dla drugich pieszą wycieczką. Jednym szumieć będą legendami i baśniami wirchów, innym — plotkami hoteli. A nam — cóż to szkodzi?

MARIAN PRZEŹDZIK.



Grigorescu (Do art. na str. 14).

DYSKUSYJNA

Młodzież i poezja

(W związku z artykułem „Poezja i program" J. Marszałka).

Najzupełniej zgadzam się ze stanowiskiem Jana Marszałka. Szkoła dzisiejsza traktuje poezję chłodno i obojętnie. Młodzież absorbuje całkowicie sport, lotnictwo, filatelistyka, polityka, słowem wszystko, tylko nie współczesna sztuka i poezja. Jeszcze proza jest u młodzieży w pewnym poważaniu, daje pewne emocje i wzruszenia. Lecz poezja? — „trudna, zagmatwana, niezrozumiała i „zbyteczna".

Istotnie, dostęp do piękna, do istoty poezji nie jest łatwy. „Trzeba wytrzymać i wypracować w sobie próbę przemiany wewnętrznej, trzeba stać się kimś innym, może nawet bardziej sobą, ale innym niż na codzień" — jak mówi Jules Romains. Lecz kto wejdzie w ów żywiołowy labirynt wielkich zagadnień i spraw dla tego życie staje się piękniejszym i bardziej wartościowym. Wówczas pozna, że poezja współczesna nie jest, jak się powszechnie uważa, pozbawiona realizmu i logiki.

Tymczasem czytelnik współczesny traktuje poezję, jako rozrywkę, jako pustą igraszkę słów. Poeci wyczuwaja to i w pewnej części odseparowują się od niewdzięcznych tłumów, obierając drogę krańcowego osamotnienia. Tymczasem osamotnienie poetów to niedobry znak dla kultury i rozwoju zbiorowości. Czasy nasze, czasy wielkiej rozbudowy pełne są przecie poetyczności.

Młodzież jeszcze tego nie odczuwa. Zrodzona w wolnej Polsce nie odczuwa tętna nawskroś poetyckiego dzisiejszej epoki, epoki: burz, wzlotów, tragizmów, osiagnieć i haseł. Dlatego z taką chłodną reakcja odnosi sie do zagadnień tyczących się naszej współczesnej sztuki i poezii. Na to winni zwrócić uwage twórcy naszych szkolnych programów — jak słusznie mówi J. Marszałek.

Lecz czyż wystarczyłyby żądania programu, gdyby w duszach młodzieży nie zrodził się głód poznania i tęsknota do nowej poezji? — Uważam, że na program winy całkowicie zwalać nie można. W młodzieży winno się samo zrodzić pragnienie poznania, bez jakichkolwiek narzuceń, (program winien być echem tego), wówczas nasza współczesną poezja znalazłaby należne zrozumienie i znaczenie.

W bibliotekach i świetlicach szkolnych, obok „Wiadomości" i „Kurierów Sportowych", „Lotu", „Morza" i „Płomyka" powinny się znaleźć: stworzona z młodych, lecz tęgich piór „Okolica Poetów" (Ostrzeszów wielkop.), Kamena (Chełm lub.) „Nasz Wyraz", „Ateneum", „Skamander", „Zet", nie mówiąc już o „Pionie" i w. innych.

Następnie, winno się znaleźć jakieś wydawnictwo, które periodycznie wydawałoby antologię najcenniejszych utworów współczesnej poezji oraz informowałoby o współczesnych kierunkach literackich. Oczywiście wyrość ono winno z iniciatywy i pracy młodych, przy wspóudziale, biegłych literatów i krytyków literackich, a może nawet samego P. A. L.'u.

Powinny by też przy szkołach powstawać kółka literacko-artystyczne, których celem byłoby poznanie współczesnej kultury polskiej i poezji. W kółku przez odpowiednie prace nauczyłaby poezja, jak żadna inna dziedzina, być twórczym i cenić twórczość. Wówczas może wzrosłoby to zrozumienie, że w poezji mamy nie tylko piekne obrazy i kunsztowne rymy, lecz przede wszystkim to, co stanowi odwieczny cel i dążenie życia duchowego: piękno, prawdę i dobro.

TADEUSZ FRĄCZYK,
Lic. w Solcu n/W.

O poezji i programie słów kilka

(W odpowiedzi kol. J. Marszałkowi).

Piszecie Kolego, że „nieliczni skazańcy muzy przedzierają sie poprzez splątany gąszcz najprzeróżniejszych prądów", że „dzisiejszy inteligent opuszczający szkołę średnią nie ma o poezji współczesnej żadnego pojęcia", słusznie, bardzo słusznie — no i wyciągacie wniosek, którym prosto w łeb walicie w program szkolny. Otóż wydaje mi się, że nie jest tak źle, jak Kolega pisze. Weźmy choćby klasy gimnazjalne. Przeglądałem książki młodszego rodzeństwa i ku radości i zazdrości swojej („za moich czasów" tak nie było) znalazłem tam Iłłakowiczównę i Staffa i Wierzyńskiego i wielu innych współczesnych poetów. Trudno jednak wymagać, aby lekcja j. polskiego polegała ciągle tylko na pracowitym dukaniu przypuśćmy Młodożeńca lub Peipera, tym bardziej, że sam Kolega przyznaje, że „poezja współczesna jak nigdy przedtem—cierpi wprost na przeładowanie różnymi, ścierającymi się prądami i kierunkami" i przyznacie mi rację, gdy dodam, że w poezji dzisiejszej plewy z perłami mieszają się „jak nigdy przedtem", że różne zbiory, zbiorki i zbioreczki, jak grzyby po deszczu lęgną się, wydawane na koszt własny, że poeci z nieprawdziwego zdarzenia sadzą się na nadrealizmy, dadaizmy, autentyzmy, awangardyzmy, powtarzając, jak za panią matką, to wszystko, co piszą dziś poeci prawdziwi. Że nawet człowiekowi dojrzałemu może się w głowie przewrócić od tego wszystkiego... a co tu mówić o młodym sztubaku, który nie może czasem skapować „Romantyczności" lub „Godziny myśli".

Ładnieby wyglądał wykładowca, któryby przyszedł na lekcję z Łobodowskim lub Piętakiem.

Jest jedna rada na to wszystko! Gdzie tylko znajdzie się was dwóch, trzech miłośników nowej poezji — łączcie się, twórzcie kółka literackie. W programy prac już istniejących kółek wprowadźcie pracę nad Staffem, Wierzyńskim i młodszymi, urządzajcie możliwie często wieczory artystyczne i nietylko z referatami, ale przede wszystkim z recytacjami nowych poetów. Aby zrozumieć poezję, trzeba ją przecież słyszeć — to ma szczególne znaczenie w poezji współczesnej, która jest na wskroś dźwiękową i deklamacyjną. Jedynie w ten sposób możemy my młodzi obudzić u swych współkolegów zainteresowanie poezją.

WŁODZIMIERZ GUTEKUNST,
U. J. P.

List otwarty do Ligi Morskiej i Kolonialnej

WYSOKA LIGO!

W Anglii istnieje od lat trzech towarzystwo „adoptacji“ statków (Ship Adoption Society), które szybko rozwija swą działalność. Istnieje już 600 szkół, które „przysposobiły“ sobie poszczególne statki, a nadto 200 szkół figuruje na liście oczekujących.

Wymienione towarzystwo ma na celu nawiązywanie i utrzymywanie ścisłego kontaktu między statkami i szkołami, a ściślej między załogami statków i uczniami szkół, po przez wzajemną wymianę korespondencji, interesowanie się uczniów losem statku i załogi, jego pracą, a więc i krajami odwiedzanymi przez dany statek, przewożonymi przezeń towarami i t. p.

O rozwoju tego towarzystwa w Anglii świadczy najlepiej fakt udziału w wystawie Giełdy Bałtyckiej, a otwarcie odnośnego stoiska dokonał osobiście angielski Minister Przemysłu i Handlu. Ta ostatnia okoliczność świadczy wymownie o znaczeniu omawianego towarzystwa oraz o opiece jaką jest otaczane przez państwo.

Wysoka Ligo! A możeby tak u nas? To byłoby na prawdę bardzo interesujące i znacznie silniej i konkretniej związałoby nas z morzem i jego „pracownikami“, bo przecież trudno kochać wciąż morze tak na wiarę i platonicznie,jak to się u nas dzieje. Chcemy, by przychodziły do nas listy z Cartageny i Gwadelupy, obryzgane morzem i atramentem, kolysanym przez statek! Chcemy choć na odległość — ale jak rok długi — morze czuć, wąchać, słyszeć i wiedzieć, co dzieje się wśród ludzi i rzeczy polskich na polskich statkach, wędrujących po płynnym świecie morza. Będziemy w zamian przesyłać „naszym“ statkom, co potrzeba: serca nasze, dobre uczynki, pracę pożyteczną, uczucia i myśli. Młodzież, jak Polska długa i szeroka, będzie na pewno dobrymi „opiekunami“ polskich statków.

Prosimy uprzejmie o wzięcie tej myśli pod rozwagę, pozostając z głębokim szacunkiem dla wielkiego dzieła L. M. i K.

Komitet Redakcyjny.

„MOJA KOCHAĆ KOLONJE“

napisał Wł. Kosiński, U. J. P.

Tak się złożyło, że uzyskałem dostęp do nowych, pięknych, niestety nieco zbyt kosztownych książek wydawanych przez „Bibliotekę Podróżniczą“ Trzaski Everta i Michalskiego. W ciągu długich godzin lektury poznałem cały szereg współczesnych podróżników różnych narodowości, ich przygody, zwycięstwa i klęski — i przewertowawszy skrupulatnie kilkanaście dość grubych tomów — zacząłem porównywać opisywane przeżycia z opisami wypraw polskich. Im lepiej wżywałem się w ducha książek anglików i amerykanów, tym głębsza budziła się we mnie zazdrość, tym dobitniej rozumiałem, co to znaczy mieć świat stojący otworem, co to znaczy *posiadać kolonie.*

Nie chcę poruszać tu motywów ekonomicznych — nie przemawiają one do mnie najdobitniejszym językiem — zresztą były one zawsze raczej nieodstępnym towarzyszem, lecz nie przewodnikiem zdobywców świata. Aby zrozumieć to, co spowodowało dzisiejszy stan rzeczy należy wczuć się w sprawę daleko głębszą, w ów niepokój wewnętrzny zmuszający człowieka do tego, by iść i walczyć, ów dziwny stan ducha nigdy nie sytego wrażeń, łagodnego, lub okrutnego, prawego, lub przewrotnego, ale zawsze *szukającego.*

Uprzedzono nas o lat kilka setek — nieraz nawet mniej. Z czysto symbolicznego niegdyś objęcia we władanie dalekich, egzotycznych krajów, zrobiono dziś nietykalnego fetysza, uosobienie sprawiedliwości i pokoju, nieomal warunek szczęścia całej ludzkości.

No i — my w Polsce osiedliśmy na lodzie. Gdy zmieniły się warunki naszego życia, gdy zdrowy duch narodu zaczął poszukiwać dróg ekspansji okazało się, że świat jest przed nami zamknięty. Nie zajęty, ale poprostu zamknięty na wielki klucz owinięty różnokolorowymi chorągwiami. Przez wiele lat zdawało się, że będzie to zapora nie do przebycia, że trzeba na zawsze pogodzić się z rolą turysty, a nie gospodarza. Ale teraz zaczynają cienkie wrota trzeszczeć. Gną się spróchniałe deski, lecą na ziemię szczapy, drzazgi — widać już miraż krajów dalekich, pięknych i — pustych. Oby nie pozostały one tylko mirażem. Jednak, jak wspomniałem już uprzednio, jeśli tak gorąco pragnę teraz zmian w „uświęconych prawach“ — to nie dlatego, aby chodziło mi o korzyść. Być może, że to niepoważne, ale do mnie najsilniej przemawia — *przygoda.*

Bo proszę — pomyślcie tylko chwilkę. Taki chłopak angielski w naszym wieku ma wakacje. Wtedy my jedziemy na obóz, jakąś małą czy dużą włóczęgę, czy coś podobnego — on robi to samo, tylko, że jedzie do stryja w Południowej Afryce, starszego brata w Indiach, lub ciotki w Australii. Dla nas byłaby to wyprawa pamiętna na całe życie, dla niego — wycieczka wakacyjna. A teraz przyjeżdża na jakieś egzotyczne wybrzeże. Do okrętu dobija motorówka z kilkoma biało odzianymi personami, okręt przyjmuje ich na pokład, okazuje się, iż są to miejscowi urzędnicy, oczywiście Anglicy, — sprawdzenie dokumentów, krótka rozmowa i nasz kolega za kilakdziesiąt minut ma już

pod nogami czarny, czy brązowy ląd. Jedziemy jachtem, no nie jakimś luksusowym tylko takim np. jak Zjawa, czy Poleszuk, napotykamy wysepkę zgubioną w jakimś archipelagu mórz południowych — naszego kolegę witałyby wszędzie wykrzywione w przyjaznym uśmiechu gęby krajowców i — mniejsza czy szczere, ale chyba miłe do usłyszenia słowa: *„moja kochać za bardzo Anglik, która być twoja"*.

Młody Anglik może cały świat przewędrować i wszędzie usłyszy wypaczoną, śmieszną nieraz, ale zawsze do jego rodzonej zbliżoną bodaj mowę. Może to być żargon portowy, „pidgin — english", lub niewyraźny bełot mieszkańców rzadko zaludnionych obszarów Australii, ale zawsze *oni* będą się starali aby on ich rozumiał, nigdy nie będzie przeciwnie. Wszędzie młody anglosas będzie czuł się jak *u siebie w domu*. Jego obyczaje, jego urzędy, jego poglądy będą mu towarzyszyły na wszystkich krańcach świata, gdziekolwiek powiewa dumna flaga brytyjska — wszędzie otwarte są dla niego wrota.

I młody Anglik i stary Anglik i Francuz i Holender i Belg nawet, są zadowoleni z tego stanu i za wroga pokoju ogłaszają każdego, kto mówi, że i on także miałby ochotę pobawić się w plantatora i kolonizatora i odkrywcę i to nie jako ledwo tolerowany gość lecz równoprawny gospodarz.

Wyprawa na czarodziejskie południe, to dla olbrzymiej większości nas niedościgłe marzenie, to bajka, która doczekać się może realizacji chyba w postaci wycieczki m/s Batory do portów Afryki. A jeśli ktoś tak nie chce? Jeśli nie chce być widzem w białych zaprasowanych na kant spodniach i z kartą uczestnictwa w egzotyce w kieszeni? Jeśli nie chce być przedmiotem opieki fachowych przewodników biur podróży, lecz aktorem w wielkim dramacie ujarzmiania pierwotnej natury dalekich tajemniczych lądów? To co?

Dlaczego inni mogą, a my nie? Czemu ma się to odbywać tylko za cenę pewnego wykolejenia życiowego — i kończyć co najwyżej — Legią Cudzoziemską? Dlaczego wszędzie mamy być gościem, jeśli okazało się już i okazuje nadal, że w konkurencji z tak zwanymi „wielkimi" potrafimy zająć bynajmniej nie gorsze od nich miejsca? Wszystko to wygląda na jakieś wielkie nieporozumienie, lub hyper-perfidną obłudę. Są kraje cierpiące na brak ludzi, są inne, których mieszkańcy chętnie obejmują stanowiska kierownicze w dalekich koloniach, natomiast nie potrafią wytworzyć warstwy osiedleńców związanych z ziemią danych terenów. U nas ludzie rodzą się w niektórych okolicach dosłownie na kamieniu — a zawziętością w ataku na ziemię rodzicielkę bijemy chyba wszystkie ludy na świecie.

Ale ten świat jest dla nasz zamknięty. Nie wpuszcza się naszego chłopa, naszego robotnika, jak przez sito przesiewa się naszych uczonych i badaczy, dbając troskliwie, aby się któryś nie zawieruszył przypadkiem w bezludnych ustroniach i nie przebywał na „obcym" terytorium dłużej, niż pozwala mu t. zw. wiza.

Dziwne się dzieją rzeczy. Jednocześnie tym wielkim mocarstwom kolonialnym trzęsą się pod szatkami kolana przed żółtym, zielonym czy fioletowym niebezpieczeństwem. Jednocześnie czują się one jakby na wulkanie, gotowym do wybuchu — a wszystko z powodu tego, że ziemie posiadane są opanowane jedynie przez wojsko, urzędników i eksploatatorów, słowem ludzi, którzy przy pierwszym podmuchu grozy „wieją", nie pozostawiając nieomal śladu po sobie.

Obłędny wyścig zbrojeń trwa bez przerwy — wszystko w imię pokoju. Czy jednak ze strony najdzielniejszych jego orędowników nie jest to obrona brzuszka, który połknął więcej niż potrafi strawić — i teraz czuje się trochę niepewnie?...

W imię przygody — w imię naszej liczebności i prężności — m u s i m y m i e ć k o l o n i e!

Z cyklu: Anonimowe mocarstwa

JERZY URJASZ

OSKARŻAM NAFTĘ*)

II.

W blasku czerwonego słońca z Morza Kaspijskiego gwiazda angielska zaczyna blednąć. Sfera wpływów nafty sowieckiej sięga od Afryki środkowej aż po Azję, od Bałkanu do Sachalinu. Rosyjski trust naftowy Asneff wyrywa naftę nawet z dna morskiego, z terenów zalanych przez fale morza Kaspijskiego. Druga piatiletka" przewidywała wydobycie 247 milionów ton ropy, w obecnej chwili złoża zdolne do eksploatacji mogą dostarczyć półtora miliarda t.j. osiem tysięcy razy więcej niż całkowite światowe wydobycie w 1920 roku.

W miarę rozwoju sowieckiej produkcji nafty wzrasta wpływ Sowietów na politykę światową. Uznanie przez Washington w 1933 roku, ważny traktat handlowy z Francją w styczniu 1934 r. — oto sukcesy osiągnięte przy pomocy nafty.

Jeszcze w 1927 roku Deterding, stojący u szczytu swej potęgi, wypowiada wojnę znienawidzonemu wrogowi — Rosji, grożąc jej zamknięciem najważniejszych dla niej portów Włoch i Anglii, jeżeli nie uznają jego praw do nafty w Baku i nie udzielą monopolu na sprzedaż nafty rosyjskiej na całym świecie. Rosja, dla której eksport nafty jest rzeczą pierwszorzędnej wagi, skłaniała się do warunków Deterdinga, gdy przyszła odsiecz ze strony Standard'u.

*) *Por. nr. 8 (12) „W Mł. O."*.

Cz. Czortek, II lic., Chodzież.

GRIGORESCU
(1838—1938)

...Jak zwykle rozpoczęło się od wymiany nudnych grzeczności, lecz po pewnym czasie korespondencja z naszymi kolegami rumuńskimi nabrała innych cech. Uwagi, spostrzeżenia, no i wiadomości z życia kulturalnego stały się tematami listów. Artykuł ten, to właśnie owoc korespondencji prowadzonej z Traianém Nicolescu.

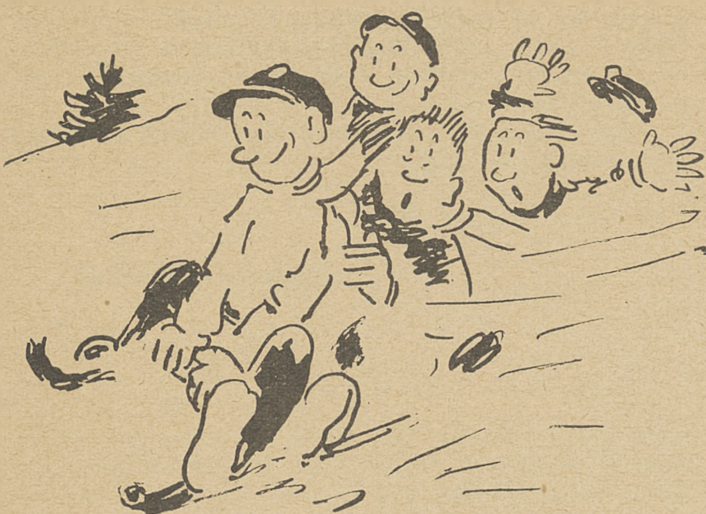
Tak się jakoś złożyło, że Polska równocześnie z Rumunią obchodziła w tym roku setną rocznicę urodzin swych największych artystów malarzy. My czcimy Matejkę, Rumuni swego mistrza — Nicolas'a Grigorescu. Utalentowany ten artysta rumuński urodził się w 1838 r. w dzielnicy Démborita. Pochodził z ubogiej rodziny wieśniaczej i tak jak zresztą większość malarzy w Europie, przymierał z głodu, nim nie zdobył sławy i... klienteli. Uczył się u znanego miniaturzysty Chiadec'a, wykształcenie artystyczne pogłębił zaś w podróży do Włoch i Francji. Umarł w r. 1907.

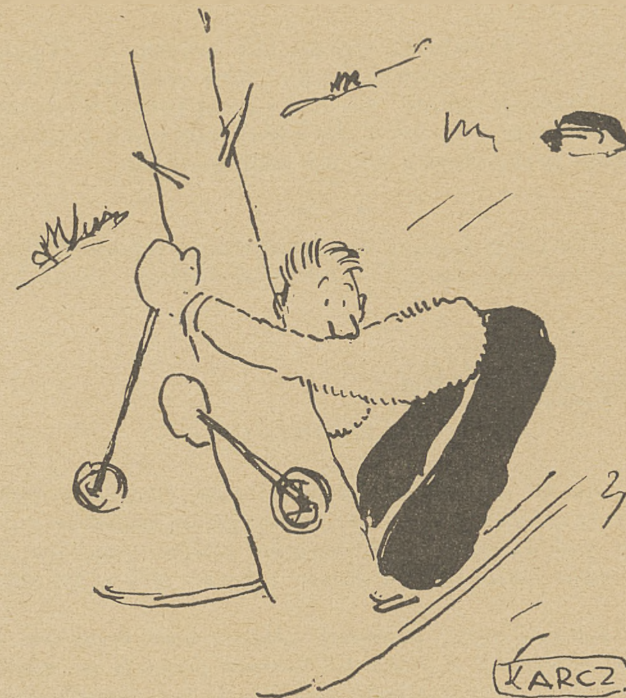
Rumuni nazywają go „wiecznym Grigorescu". I nie można się dziwić. Malarstwo rumuńskie przed Grigorescu nie przedstawiało się imponująco. On dopiero dźwignął sztukę narodową na poziom zachodnio-europejski, zachowując zarazem jej cechy rumuńskie. Grigorescu w tematyce swych dzieł opiera się na życiu l u d u. Pasterz, rolnik, wiejska dziewczyna, oto motywy bardzo często powtarzające się w jego obrazach. Jest on m a l a r z e m ż y c i a i w i o s n y. Słońce w jego „olejach" to nie tylko wibrujące światło impresjonistów francuskich, lecz zarazem jakaś życiodajna siła. Rozmiłowany w naturze podchodzi do niej z uwielbieniem. Obrazy Grigorescu są ogromnie „malarskie". Niezwykła delikatność pociągnięć pędzlem oraz jakieś wewnętrzne światło obrazów przypominają nieco pod tym względem dawną szkołę holenderską. Ton pastelowy, oraz światłocień jego obrazów powoduje jakby idealistyczny, marzycielski nastrój. Nawet gdy Grigorescu maluje rodzajowy obrazek z życia miasta rumuńskiego, tak operuje światłem na zwyczajnym „woziwodzie", że giną w nim nie tylko łachmany nędzarza, ale i wystające żebra chudej szkapiny. Rysów realistycznych trudno byłoby się doszukać w jego twórczości, a natomiast widzimy u niego pewną wytworność w doborze tematów. Grigorescu uchodzi za najlepszego wyraziciela psychiki narodu rumuńskiego, ta właśnie „rodzimość" to jeden z najgłówniejszych walorów jego sztuki i podstaw do uznania i sławy we własnej ojczyźnie.



Grigorescu. Pasterz.

Amerykańskie złoża naftowe dają rocznie 125 milionów ton, co stanowi 84% całkowitej światowej produkcji. Ale rezerwy ropy amerykańskiej przedstawiają wartość dwunastu miliardów złotych podczas gdy wartość złóż angielskich — złóż przyszłości oceniana jest na 400 miliardów złotych. Wobec groźby wyczerpania rezerw paliwa łączy się Ameryka z Sowietami przeciw wspólnemu wrogowi — Anglii. Standard kupuje znaczną część nafty rosyjskiej, zalewając nią Indie i zmuszając Deterdinga do znacznej obniżki ceny. Amerykanie sprzedają piętnaście milionów baryłek rocznie (7,2 baryłek równa się jednej tonie) w sferze wpływów angielskich. Dzięki Standardowi Sowiety zyskują nowego sprzymierzeńca, pozyskują francuskich importerów, zaopatrują w paliwo marynarkę francuską i — Włochy. Miliardy, które daje im Ameryka, rzucają Sowiety na budowę wspaniałych, najnowocześniejszych rafinerii świata, na budowanie nowych miast, które powstają wśród stepów. Nafciarze amerykańscy rozwijają wielką aktywność. Wszędzie spotyka się ludzi Standard'u. Przez Sowiety Standard pozyskał część nafty z Persji, wartości 160 miliardów złotych. Dla Anglii nie jest to tylko sprawa nafty. Nie chodzi ani o rezerwę paliwa dla floty, ani o 40 milionów funtów szterlingów zainwestowanych przez Anglo-Persion, ani o olbrzymie sumy stracone na giełdach świata przez cofnięcie przez szacha koncesji, lecz o azjatycką politykę Anglii. Chodzi tu o prestiż Imperium Brytyjskiego na Wschodzie. Anglia jest zaniepokojona sojuszem Rockfellera z Rosją, udziałem w Turkish-Petroleum, koncesją w północnej Persji i przewagą wpływów rosyjskich na bliskim Wschodzie. Chodzi tu przecież o drogę do Indii, najważniejszą pozycję strategiczną na bliskim Wschodzie. Rok 1933 jest dla Standard'u rokiem koniunktury i nowego wzrostu wpływów na terenie międzynarodowym. Konflikt między Standard'em Royal Dutch pogłębiły mimo woli zarządzenia Prezydenta Roosevelt'a. Przez zjednoczenie przemysłu naftowego Stanów, reglamentację produkcji, zapobieganie marno-





trawstwu, została wzmocniona pozycja Standard'u w walce z Anglikami i z niezależnymi małymi producentami. Do korzyści Standard'u na rynku wewnętrznym dopłynęły korzyści osiągnięte z dewaluacji dolara. Standard robi na inflacji znakomite interesy, dokonywując obrotów w zdewaluowanych dolarach podczas gdy Royal Dutch we florenach — w walucie mocnej. Amerykanie mogą dzięki temu uprawiać dumping cen. W czasie zażartej wojny, jaką wiodą między sobą magnaci naftowi, zdarza się niejednokrotnie, że bogaty, świeżo odwiercony szyb staje w płomieniach i mimo wszelkich ostrożności, idą z dymem nieprzebrane bogactwa naftowe. Trudno ustalić, czy pożar powstał z przyczyn naturalnych czy też wskutek — podpalenia.

A tymczasem — giną w pożarze „salamandry" (ludzie, gaszący zawodowo pożar nafty), giną kierowcy aut, wypełnionych „zupą" (nitrogliceryną), giną tysiące a nieraz miliony walczących po obu frontach, — w upalnie wilgotnych dżunglach, w stepach, ludzie dniem i nocą wiercą szyby naftowe, by dostarczać paliwa wszystkim motorom świata. Któż o nich myśli? Ani automobilista, który napełnia bak benzyną z ulicznej pompy, ani ktoś, kto zaświeca lampę naftową, ani przemysłowiec, który w swoim przedsiębiorstwie spala olej opałowy. Nikt. Bo najważniejszą jest walka. W tej walce o naftę, którą prowadzi na świecie kilka monopoli, wszystko jest przeraźliwie jasne, logiczne, zrozumiałe, bezwzględne. I — przeraźliwie absurdalne. Nafta, podstawa cywilizacji przemysłowej, przestała już dawno być środkiem do kultury, rozwoju, dobrobytu narodów. Za przyczyną kilku potentatów stała się narzędziem wzajemnego niszczenia i nieustannych wojen. Posiadanie nafty stało się celem samo w sobie. Deterding jest ważniejszy na świecie niż kilkanaście państw europejskich razem wziąwszy.



JURKA KARCZA

KOMPOZYCJE ZIMOWE

1. To nie saneczki,
   to: b o b s l e i g h!
2. Kol. Wyrwidąb — klęska polskich lasów.
3. Mistrz — czyli Sonia Henje w spodniach.

(Dok. ze str. 9-ej).

światłami... Trwało to chwilę, tak krótką, że Migała sam się nie zorientował, kiedy znów siedział na kulbace, poklepał „Zimę“ po szyi i rysią ruszył w stronę sań. Kolanem przyciskał do końskiego boku pochwę, z której przed chwilą wyrwał szablę... Klął.

* * *

Gdy już połamano się opłatkiem, wachmistrz Breza huknął „Baczność!“ i odczytał rozkaz dowódcy szwadronu na dzień 24 grudnia 1919 roku, w którego 2-gim punkcie „ułana Migałę mianuję starszym ułanem za przytomność umysłu i stoczenie zwycięskiej potyczki z trzema kozakami“.

A siedzący w kącie starszy ułan Migała uśmiechał się z cicha i... nie klął.

Tomaszów, listopad 38 r.

Czesław Domaradzki.

Listy do redakcji

NA ROZDROŻU

Obecnie jesteśmy świadkami sytuacji, jaką wytworzyła niedawna reforma szkolna. Chcę mówić przede wszystkim o sytuacji tych, którzy kończą gimnazjum nowego typu. Sam jestem takim „maturzystą“ i dlatego zabieram głos w tej sprawie.

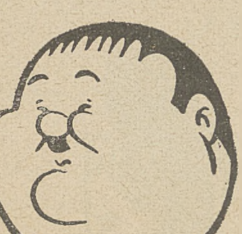
Zaledwie 14 — 16-toletnia młodzież musi decydować o swojej przyszłości. I akurat ten moment przypada na przełomowy okres życia, o którym się mówi, że jest okresem decydującym o przyszłości. Oto w tym tak trudnym okresie, kiedy dziś przyświeca taki, jutro inny cel, człowiek musi stanowić o swoim losie. Jest to sytuacja podróżnika, którego zostawiono w nieznanej puszczy. I teraz wybieraj: na prawo, na lewo lub wprost. Żadnych danych, żadnych drogowskazów. Wybiera się pierwszą lepszą drogę, idzie się nią, nie wiedząc, czy wyprowadzi ona w pole, czy na bezdroża, czy gdzieś skąd nie ma powrotu. Bo przecież my nie mamy żadnych wskazówek, nie wiemy nawet dokładnie, jakie są licea poza ogólnokształcącymi i nie wiemy, jakie one mają uprawnienia. Nie wiadomo, gdzie się zwrócić, kogo prosić o radę.

Jeśli młodzież tak wcześnie musi decydować o sobie, no to niechże otrzymuje ona jakieś wskazówki, trzeba jej udzielać rad. Obecnie młodzież może tylko doraźnie zasięgnąć rady u p.p. profesorów. I tak bywa zazwyczaj, że polonista radzi liceum humanistyczne, matematyk matematyczne itp.

Istnieje więc dziś potrzeba wszechstronnych poradników i informatorów. Oczekujemy od czynników kompetentnych rozwiązania tego problemu, od którego zależy w dużym stopniu wartość przeprowadzonej reformy.

W. WRÓBEL Brześć n/B.

KINO



„PAWEŁ I GAWEŁ“.

Nie wiem czy Dymsza i Bodo przystępując do spółki aktorskiej pragnęli stworzyć pierwszą w Polsce parę komików czyli nowy w filmie naszym rodzaj na wzór „patpatachona“ i Flipa i Flapa. Film „Paweł i Gaweł“ mimo podkreślenia w tytule tego aktorskiego „lelum - polelum“ nie daje nam w wyniku żadnej wspólnej kreacji, żadnej pary, żadnej dwójki. Dymsza swoje, Bodo swoje, a obaj po staremu padają pod ciężarem banału, jaki do ich użytku od lat dziesięciu wymyślają polscy scenarzyści pod wodzą swego Napoleona... Sądka.

Karol Irzykowski w książce „X-ta muza“ rozważa ciekawy problem inscenizacji fredrowskiego „Pawła i Gawła“. Ale Irzykowski snuje swe rozważania na górze, na niedostępnej dla polskiej farsy górze a „zrealizowani“ Paweł i Gaweł fikają swoje koziołki na pospolitym dole. Są mimo tego śmieszni, patriotycznego widza ogarnia w czasie seansu śmiech pusty a po wyjściu litość i trwoga.



„PODLOTEK“.

Kol. „Penny“ wyrosła z niedawnej „Pensjonarki“ na „Podlotka“. Stało się to w czasie przewidzianym i dlatego film wychodzi naturalnie i świeżo. Miła Deanna bez filmowego maguillage'u, prosta i prawdziwa oraz brzydki „męski“ podlotek, na jakiego wyrósł Jackie Cooper stanowią parę filmową, która na pewno bawi i wzrusza całą plejadę podlotków i żółtodziobów, jakie wysiadują na tym filmie we wszystkich częściach świata. Ocena końcowa na plus. Warto.

ODPOWIEDZI REDAKCJI Z POWODU BRAKU MIEJSCA ZMUSZENI JESTEŚMY ODŁOŻYĆ DO N-RU NASTĘPNEGO.

WYDAWCA IMIENIEM STRAŻY PRZEDNIEJ: BOLESŁAW WASYLEWSKI

REDAGUJE KOMITET

Zakłady Graficzno-Introligatorskie J. DZIEWULSKI, Warszawa, Mariensztadt 8 (gmach własny)

TEATR

„ŻYWY ŁADUNEK" — Teatr Narodowy.

„Dziewicza podróż", jak nazywa swą sztukę autor Bruno Winawer, nie jest bynajmniej dziewiczą sztuką tegoż autora.

Winawer wystawił już na scenach polskich sporo fars, z których przypomnimy tylko popularny „Roztwór profesora Pytla". „Żywy ładunek", odpowiada swą treścią tytułowi. Widzimy na scenie ż y w y ł a d u n e k l u d z k i, jadący na s/m „Kopernik" na „przejażdżkę" do Nowego Yorku. Autor uczynił wszystko, aby pasażerowie wydali się nam tylko — ładunkiem. Jest rzeczą wiadomą, że przeciętny mieszczuch, puszczony na zieloną trawkę zapomina rychło o całej swej powadze i wy... mądrza się aż do nieprzyzwoitości. Okazuje się że wpuszczony na statek transoceaniczny — bije wszelkie rekordy tego stanu. Dlatego słuchanie, co wygadują z nudów przez trzy akty pasażerowie „Kopernika" nie należy do przyjemności. Nie mamy o to pretensji do autora. Starał się być realistą i oddać w przybliżeniu to, czego sam pewnie w autentycznej podróży się nasłuchał. Nerw współczesności, duża wiedza techniczna i błyskotliwy humor Winawera nie uratowały tej sytuacji. Zabrakło ostrej satyry a na lekką, „szampańską" farsę ten „ładunek" okazał się jednak za ciężki.

Całkiem inna sprawa jest z jedyną „poważną" postacią sztuki, pasażerem „na gapę" — dr. Grachtem. W osobie jego autor broni lekarza zasądzonego na więzienie za nieudaną i niepotrzebną operację. Ten „społeczny" motyw daje Winawerowi okazję do wielu aluzyj aktualnych w stronę „wolnościowej Ameryki", Freuda, negusa i... Hitlera. Rozumiemy autora ale z poglądami jego wolelibyśmy podyskutować.

Zespół aktorski włożył w wykonanie tej marynistycznej sztuki wiele staranności, humoru i werwy. P. Lindorfówna w roli „damy o złamanym sercu" p. Macherska, p. Wesołowski w roli dr. Grachta, p. p. Łapiński, Dominiak W. Roland, Krzemiński, Ciecierski, Cygler i in. zasłużyli na szczere oklaski. P. Skulski w roli marynarza był znakomitą propagandą polskiego morza. Dekoracja w ciągu trzech aktów jedna: pomost. Reżyseria Karola Borowskiego.

„MASKARADA" — Teatr Polski.

Po „Lecie w Nohant" z niezapomnianą kreacją aktorską p. Ziembińskiego w roli Chopina — Jarosław Iwaszkiewicz wystąpił z nowym utworem scenicznym, tym razem cięższego kalibru. „Maskarada" jest tragedią sceniczną osnutą na tragedii życiowej największego poety rosyjskiego Aleksandra Puszkina. Car i poeta, jego żona Nathalie i kawaler D'Anthes, jako główne postacie sztuki, zamykają tragiczne koło, w którym rozgrywa się dramat pełen największego napięcia uczuciowego. Szczegóły ostatniego etapu życia Puszkina, „przykutego do tronu", unieszczęśliwionego przez żonę, zostały ujęte przez autora w obraz sceniczny pełen harmonii, subtelności i umiaru. Nie sposób rozważać postaci Puszkina w sztuce w oderwaniu od genialnej kreacji młodego aktora M. Wyrzykowskiego, który tekst sztuki uzupełnił i rozszerzył o całą osobowość poetycką, wyrażoną gestem, głosem i mimiką. Znakomitym carem, pełnym tyraństwa i namiętności Mikołajem I-ym był Kreczmar. Walka ukryta tych dwóch władców Rosji o piękną Nathalie, kreowaną przez — Smosarską jest p r a w d z i w ą u c z t ą s c e n i c z n ą.

Samotne sceny poetyckiego tworzenia, w których Wyrzykowski w mistrzowskiej zadumie recytuje tuwimowskie przekłady wierszy Puszkina posiadają pełny wydźwięk poetycki. Wielki, poetycki ton życia pomieszany z przykrą codziennością plotek, balów, długów, dzieci i cierni, wbijanych w serce poety przez wrogów — wszystko to udało się Iwaszkiewiczowi ująć efektownie, teatralnie, aczkolwiek bez szczególnego zagłębiania się w temat.

„Maskarada" nie wydaje się usprawiedliwiać swego tytułu. Właściwa „maskarada" odbywa się za kulisami w akcie trzecim, na scenie panują w tymże czasie nieprzyjemne pustki, w których końcowe momenty dramatu Puszkina tracą nieco na sile i wyrazie artystycznym.

Poważnym defektem sztuki wydaje się akt ostatni: scena przydługiego konania w domu, po pojedynku.

Czy nie lepiej byłoby zakończyć sceną pojedynku i na to miejsce sprowadzić resztę postaci dramatu?

Inni wykonawcy dostroili się w zupełności do nastroju i ducha sztuki. Wystawa, jak zwykle w Polskim, znakomita. Reżyseria E. Wiercińskiego, dekoracje Śliwińskiego.

INSTYTUT REDUTY. „UCIEKŁA MI PRZEPIÓRECZKA" W NOWEJ INSCENIZACJI, REŻYSERII I Z UDZIAŁEM J. OSTERWY.

Cykl przedstawień „Przepióreczki", jakie dał ostatnio Osterwa w Instytucie Reduty, jest strumieniem najprawdziwszej czystości i mocy artystycznej w nasze współczesne życie teatralne. Polska dzisiejsza ma najwybitniejsze w Europie siły aktorskie, ma wysoko zorganizowane i postawione teatry państwowe, ale w tym zespole potrzebną i niezbędną jest ta świątyńka sztuki, jaką z Reduty uczynił jej twórca. Na „Przepióreczkę" przychodzimy z namaszczeniem, jak na nabożeństwo, pamiętając, że to Żeromski, że wielkie sprawy, że wielka gra, ale wychodzimy z wypiekami na twarzy, jak po najprawdziwszym, najbliżej przeżytym dramacie życiowym. Zbliska, bez sceny, bez widowni, twarzą w twarz z aktorami a raczej z zwykłymi ludźmi bez szminki i rampy, bez kurtyny, jakbyśmy mieli dar przenikania ścian i brania niewidocznego udziału w jakimś cudzym dramacie, tak siedzimy na „Przepióreczce" przez trzy godziny, bojąc się ruszyć, drgnąć, by... nas nie zauważono, by nas nie spostrzegł ten Przełęcki, co ciska się o metr przed widzem w izbie szkolnej na zapadłej wsi, z której uczynić pragnie wielkie środowisko oświaty i myśli społecznej. Wszystko jest jak żywe i prawdziwe, brak tylko w tej izbie czwartej ściany. Jest to teatr „bez czwartej ściany", mimo tego nie naturalistyczny, a pełen patosu, liryzmu, idei i prawdy. Prosty, prawdziwy i wielki.

Widz musi powrócić myślą do dawno ucichłego sporu. Kim jest Przełęcki? Zwycięzcą czy bankrutem, komediantem czy bohaterem wielkiej tragedii, jaka się po tylekroć w dziełach Żeromskiego rozgrywa, a której „dramatis personae" są: mężczyzna, idea społeczna i — kobieta. Postać naczelna tak przedziwnie skonstruowana przez Żeromskiego, w osobie Osterwy staje się prawie zrozumiała. Prawie, bo mimo to zmusza do myślenia i dyskusji. W scenach końcowych bogowie są z tym geniuszem sceny polskiej.

Zespół znanych skądinąd aktorów współdziała tak znakomicie, że każe zapomnieć zupełnie o teatrze. Rzeczom, sprawom i ludziom patronuje u pułapu portret — co raz spojrzeniem przez Osterwę wywołana — twarz Żeromskiego, z którym twórca Reduty niegdyś całą inscenizację „Przepióreczki" przepracował, obecnie zaś dał jej postać — jak głosi afisz — częściowo zmienioną. Na czym zmiany te polegają, tego nie wiemy, jako że „Przepióreczkę" widzieliśmy po raz pierwszy.

KINO.

„MARCO POLO".

Marco Polo, zdobywco lądów grany przez „garykupera", zdobywcę naszych serc! Wydaje się, że Marco żył po to, by go Gary odegrał. Film nie jest ani „super" (mimo że gra Gary Cooper) ani monumentalny, mimo znakomitej i niezwykłej wystawy. Znakomitym czyni go kilka zaledwie scen. Scena z makaronem, węglem i prochem strzelniczym. Wielcy zdobywcy świata gnani żądzą przygód przeobrażali kraje dzięki temu, że przywozili z podróży do domu jakieś mało znaczące drobiazgi. Marco Polo przywozi z Chin do Włoch „zasuszonego węża" — makaron, do Europy — węgiel, a nowożytnemu światu udostępnia wykryty w Chinach proch strzelniczy. Dzięki temu historia Europy stała się tak urozmaicona i tak trudna do zapamiętania.

W MŁODYCH OCZACH

CZASOPISMO MŁODZIEŻY SZKOLNEJ

wyd. przez Organizację Pracy Obywatelskiej Młodzieży

STRAŻ PRZEDNIA



WARUNKI PRENUMERATY

PRENUMERATA ROCZNA ZŁ **3.00**

PRENUMERATA PÓŁROCZNA ZŁ **1.50**

Cena pojedyńczego numeru 30 gr

NALEŻNOŚĆ WPŁACAĆ PRZEKAZEM ROZRACHUNKOWYM Nr. 275

z zaznaczeniem na odwrocie: pren. „W MŁODYCH OCZACH”

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI

WARSZAWA, ŚWIĘTOKRZYSKA 30, M. 8

Zakłady Graf.-Introligatorskie J. DZIEWULSKI, Warszawa, Mariensztadt 8